

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 7 MAJA 1927 ROKU

NR 19

TREŚĆ NUMERU: O wyborze zawodu — *Zofja Miszewska*. Kwestja uświadczenia dzieci co do ich pochodzenia — *Dr. C. Bańkowska*. Samodzielność samotnych dziewcząt — *M. H. Szpyrkówna*. Felicja Kruszevska (c. d.) — *Wanda Borudzka*. Wiersz: Z cyklu „Żywoty”: „Kalina” i „Staruska” — *Maryla Czerkawska*. Motyw księżycy (nowela) — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz)*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Po kongresie sportowym — *K. Kobieta w świecie i w domu* — *N. J.* Z teatrów — *S. P. O.* Z filmów — *W. B.* O kinie — *Zygmunt Knothé*. Amerykańskie poglądy na sprawę żywienia, jako najważniejszego działu gospodarstwa domowego (c. d.) — *Marja Morzkowska*. Wiosenny sezon w Nałęczowie. Typ nowoczesnej sylwetki kobiecej (c. d.) — *Dr. med. J. Świtalska*. Niebezpieczny kwiat — *L. Ziel...ska*. Mycie okien — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Szlafroczi. — *Well*. Szlafrok ozdobiony ręcznym haftem. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł. Arkusz wzorów*.

O WYBORZE ZAWODU

Coraz częściej spotykamy się obecnie z ostrem zaznaczaniem różnicy między typem kobiety „dzisiejszej”, a „wczorajszej”. Coraz częściej słyszymy o zdobywczym pochodzie tej właśnie kobiety dzisiejszego dnia w kierunku pracy, wymagającej większego rozmachu i szerszego oddechu, aniżeli dotychczasowe małe czyny w światku własnego domowego ogniska. Kobieta wyzwoliła się i usamodzielniała. Życie przestaje być dla niej wiecznym ruchem dośrodkowym, t. j. od świata do jej domu i rodziny, a poczyną iść z zawrotną szybkością w kierunku odśrodkowym, przelewa się już poza ramy jej małego, kobiecego kręgu zainteresowań i dąży na szersze pola, na których rozgrywa się odwieczna walka życia z człowiekiem. Czy to jest dobrze, czy źle, nie będziemy dociekać w tej chwili. Musimy pogodzić się z faktem już dokonanym i zrozumieć, że kobieta, wychodząca w swych zamierzeniach poza obręb domu, przestała być cichą i niewidoczną pomocnicą mężczyzny, podlegającą mu, bądź co bądź, a stała się dzielnym towarzyszem codziennego trudu i codziennych wysiłków pracy.

Wobec takiego stanu rzeczy jasne jest, że współczesne młode dziewczęta, wstępujące w życie, powinny być do tego życia inaczej przygotowane, aniżeli ich poprzedniczki z „wczoraj”, którym zupełnie wystarczało kultywowanie tradycyjnych cnót domowych. Dziś staje przed nimi zasadnicze zagadnienie, które dotychczas traktowano poważnie tylko w stosunku do mężczyzn: zagadnienie wyboru zawodu.

Kobiety nie przyzwyczyły się jeszcze patrzeć na to dostatecznie serjo. Pracować już umieją (i jak jeszcze!) nie umieją, jednak, spojrzeć na tę swoją pracę, jak na integralną część kobiecego życia, nadając jej ciągle jeszcze cechy tymczasowości. Drzemią w nich pozostałości dawnych, przedwojennych tradycji białogłowskich, i, w większości wypadków, patrzą na pracę, jak na przymusowe i pożyteczne wypełnienie czasu między ukończeniem szkoły średniej, a zamążpójściem.

Ten stosunek do pracy jest w kobiecie często zupełnie podświadomy, tem nie mniej wpływa na zbyt lekkomyślne traktowanie zagadnienia obioru zawodu.

Praca, nieodpowiadająca zamiłowaniom i zdolnościom danej jednostki, jest dla niej zabójstwem moralnym, a poniekąd i materialnym. Zamiłowanie, a co najczęściej jest z tem złączone, i zdolności, są jedynym dopuszczalnym wskaźnikiem, którym należy się kierować przy wyborze zawodu. Żadne względy uboczne, rzekomej kariery, praktyczności, czy niepraktyczności danego kierunku pracy, nie powinny odgrywać roli; nikt nigdy nie dojdzie do doskonałości, bez specjalnego uzdolnienia, a miernoty zawsze pozostaną miernotami, czy ukończą uniwersytet, czy też szkołę zawodową. Tymczasem młode dziewczęta, gdy po ukończeniu szkoły średniej staje przed nimi pytanie „co robić dalej”, rzucają się przeważnie bez namysłu w pierwszym lepszym kierunku: idą na uniwersytet, „bo wszystkie tak robią”, wstępują do biur, bo „mają właśnie protekcję”, idą do szkoły filmowej, bo jakiś

kuzynek powiedział, że mają „fotogeniczną twarz i fascynujące ruchy“, i t. d. A potem — rozpaczliwa, bezradna szarpanina w codziennej nudzie, próby zwalczania niezwalczonych trudności, rozczerwanie, zwątpienie we własną wartość i utrata największego skarbu człowieka — zachwyty nad życiem. Nic tak nie zabija, jak świadomość własnej miernoty i nieproduktywności swych czynów. Praca jest gestem nawskroś społecznym; nie zadawalnia jej rola żywicielki jednostki: ambicją jej jest dawanie korzyści ogólnych, podnoszenie wartości zbiorowych, uszczęśliwianie mas. Praca bez zdolności i zamiłowania cech tych nie posiada: jest szarą, egoistyczną codziennością, jest zmechanizowanym ruchem pionka, który z łatwością może być zastąpiony przez inny. Ambicja cierpi na tem niepomierne.

O ile kwestja zamiłowania jest, oczywiście, łatwą do rozstrzygnięcia, o tyle wykrycie uzdolnień napotyka od czasu do czasu na pewnego rodzaju trudności. Niema na świecie człowieka, któryby do czegokolwiek nie posiadał specjalnego uzdolnienia. Tylko niekiedy przejawia się ono bardzo jaskrawo, nie wzbudzając żadnych wątpliwości, jak to ma miejsce najczęściej ze zdolnościami artystycznymi, niekiedy, natomiast zdolności mniej wybitne przejawiają się słabo, powodując rozpaczliwe, częstokroć, pomyłki. Dowodem tego są choćby nasze wyższe zakłady naukowe, przeładowane, poprostu, elementem zupełnie nieodpowiednim, który z trudem przebija się poprzez zawiłe badania intelektualne, gdy, przypuścmy, w szkole zawodowej byłby zupełnie na miejscu. Przyczyną tego tragicznego nieporozumienia z samym sobą jest zupełna nieświadomość własnych uzdolnień, czasem, zbyt nie zaufanie w swoje siły, czasem, owczy pęd i przysłowie polskie, „jakoś to będzie“, a czasem — ambicyjki, śmieszne, małe ambicyjki, o które później rozbija się głowę.

A jednak, tak łatwo byłoby uniknąć tego, poznając charakter swych uzdolnień i możliwości umysłowych.

Jeśli kto sam nie może rozstrzygnąć tego zagadnienia, niechaj się zwróci do pracowni psychotechnicznej, mieszczącej się przy ulicy Hożej 27, gdzie, zbadany starannie przez lekarzy specjalistów, dowie się, do jakiego rodzaju pracy nadają się jego zdolności. Pracownia ta, zapoczątkowana przez dr. Roszkowskiego, udziela porad przy wyborze zawodu, zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Bada wzrost, wagę, wytrzymałość, odporność nerwów, oraz czyni specjalne badania psychologiczne, jak: wrażliwości zmysłowej, wyobraźni, spostrzegawczości, pamięci, inteligencji, kombinacyjności technicznej, poczucia estetycznego i t. d. Badania te uskutecznia się przy pomocy specjalnych aparatów, lub też testów, zbudowanych na wzorach szwajcarskich i belgijskich.

Do pracowni owej, niestety, zgłasza się bardzo niewiele kobiet, co dowodzi, jak mało przywiązują one wagi do wyboru zawodu.

Co się tyczy zamiłowań i zdolności [kobiecych, to, podług mnie, można je rozdzielić na kilka grup:

1) Grupa czysto intelektualna. Dziewczęta o tego rodzaju zdolnościach i zamiłowaniach powinny bezwzględnie wstępować na wyższe zakłady naukowe, i, zależnie od stopnia zdolności, albo obrać sobie drogę ściśle naukową, albo też pójść w innym, podobnym kierunku. 2) Grupa praktyczna. A więc: praca w szkołach gospodarskich różnego typu, jak Chyliczki i Snopków, że wyliczę najwybitniejsze; pszczelnictwo, ogrodnictwo, przemysł rolny. 3) Grupa artystyczna. Ta ma największe pole do popisu, bo, pomijając wybitne zdolności, dla których stanie otworem czy Konserwatorium, czy Szkoła Sztuk Pięknych, czy, wreszcie, Szkoła Dramatyczna i ta „upragniona“ filmowa, — mamy rozrzucone po całej Polsce doskonałe kursy kilimkarstwa, koronkarstwa, szkoły zdobnicze, szkoły sztuki stosowanej i t. d. Jest w czem wybierać, i obecne szerokie zapotrzebowanie drobiazgów tego rodzaju gwarantuje doskonały rynek zbytu. Wszystkie te szkoły nie wymagają specjalnie ukończenia 8-miu klas, lecz przyjmują w większości wypadków na zasadzie 6-cio klasowego świadectwa, należy się więc co rychlej zastanowić, czy przepychać córkę forsownie poprzez zawiłe arkana 7-mej i 8-mej klasy, czy też dać jej odrazu możliwość kształcenia się w kierunku, odpowiadającym jej zdolnościom.

Prócz powyższych grup, jest jeszcze cały szereg dziewcząt, które, nie mając specjalnych zamiłowań, pragną pracować w biurach i interesach handlowych. I tutaj znowu powtórzę, że zdolniejsze pójdą na W. S. H., dla mniej zdolnych, obok licznych kursów buchalteryjnych, istnieją, tak zwane, średnie szkoły zawodowe, handlowo-przemysłowe. I tutaj również nie jest wymagana matura, tylko 4-ro, co najwyżej 6-cio klasowe wykształcenie. A potem już następuje specjalizacja w pewnym kierunku.

Jak widzimy, szkolnictwo zawodowe żeńskie stoi u nas prawie że na wysokości zadania. Nic nie zmusza, wobec tego, młodych dziewcząt do poprzestawiania na ogólnem tylko średnim wykształceniu, które w obecnym czasie nie daje możliwości zarobkowania.

Zyjemy obecnie pod znakiem specjalizacji, każdy w swym zawodzie może osiągnąć maximum doskonałości, a dla powalenia śmiesznych ambicyjek powiem, że i więcej warta jest choćby dobra krawcowa, aniżeli niedouczona studentka.

Chciałabym, aby powyższe słowa trafiły do tych wszystkich dziewcząt, które, przy nadchodzącym końcu roku szkolnego, staną wobec zagadnienia wyboru zawodu. Niech pomyślą nad tem dobrze i niech pójdą drogą, jaką wskaże im, przede wszystkim, zamiłowanie.

Największem szczęściem człowieka jest radosne i lekkie dźwiganie pracowitego dnia i świadomość, że jest dobrem i niezastąpionem kółkiem w wielkiej maszynie zbiorowego życia.

Zofja Miszewska.

Dr. C. BAŃKOWSKA

KWESTJA UŚWIADOMIENIA DZIECI CO DO ICH POCHODZENIA



Kwestja ta należy do t. zw. drażliwych kwestyj, dziedzin trudnych dla matek i ojców—niemniej—zagadnień, niezmiernie ciekawych, wiecznie palących i wymagających niezmierniej subtelności i przygotowania, nie tyle nawet naukowego, co psychicznego. Może ktoś posiadać wiele bardzo wiedzy, wykształcenie przyrodniczo - medyczne, lub psycho - pedagogiczne i nie umieć odpowiedzieć dziecku na rzucone nagle, tak proste pytanie: „Skąd się wzięła tu mała moja siostrzyczka?” Znam wiele matek, które wstydzą się mówić z dziećmi, nawet z dorastającymi córkami o tych kwestjach, znam ojców, którzy wolą, by syn uświadomił się poza domem. Często mają rację.

Bo niedość jest być ojcem, lub matką, dziadkiem, czy babką danego dziecka.

Tu—obok pewnego dorobku wiedzy—potrzeba czegoś więcej: trzeba mieć imaginację czystą, niezbrukaną, trzeba mieć prostotę myślenia i ujmowania zjawisk życiowych, trzeba, wreszcie, ukochania dzieci i rozumienia ich potrzeb i zainteresowań. Trzeba brać zainteresowania dzieci całkiem poważnie i odpowiadać na pytania z godnością i prostotą, subtelnością i taktem, które nie pozwolą ranić wrażliwej duszy dziecka, przeciwnie, uzbroją ją i uodpornią na przyszłość, chroniąc jej nieskazitelność przed brudami, z jakimi zetknąć się dorastającej młodzieży wypadnie.

Czy i kto winien uświadomić dziecko, co do jego pochodzenia?

Kiedy uświadamiać?

Jak uświadamiać?

Oto pytania, które cisną się do głów tych, co się powołują na liczne przykłady rzekomego złamania, choćby przygnębienia młodzieży realizmem życiowym, na potrzebę zachowania jaknajdłuższej quasi niewinności dziecka, a także tych, co szczerze radziłyby się podjąć tak trudnego zadania, lecz nie wiedzą, jak się zabrać do dzieła.

Na zapytanie; kto? odpowiedzią będzie: ten, kto posiada przymioty, wyżej wyliczone, i zaufanie dziecka.

Może to być ojciec, lub matka, siostra, rodzeństwo, lub wychowawca, krewny, czy przyjaciel domu, byleby to czynił po głębokim namyśle i z wiedzą, oraz zgodą rodziców, byleby miał przywiązanie dziecka i jego szacunek i tem samem dziecku odpłacał. Fakt, że młodzież w dwunastym, czy trzynastym roku życia, a często o wiele wcześniej, jest już najdokład-

niej uświadomioną przez kolegów szkolnych, lub też otoczenie, i to w sposób nader cyniczny i brutalny, którego następstwem jest dalsze brukanie się dziecka, fakt, że służba, przybywająca do nas ze środowiska, gdzie każde, a więc i to zjawisko życiowe, traktuje się już zbyt prosto, bez żadnych osłonek, ani listków figowych, ze środowiska, które wprost nie wie- rzy w potrzebę t. zw. czystości, polegającej na niewiedzy o faktach, na każdym kroku spostrzeganych,—sprawia, że dzieci ze sfer średnio zamożnych, już jako malcy, od nianiek, lub pokojówek dowiadują się o tem, jak się urodził mały braciszek, dlaczego mamusi tak ciężko chodzić i t. p. Lecz gorzej bywa, gdy niania lub bona, jako „doświadczona w sprawach wychowania“, zacznie dziecko okłamywać, opowiadając mu bajki o bocianach i główkach kapuścianych, czy aniołkach z nieba, co dzieci przynoszą. Dziecko, dochodząc do rozumu, traci raz na zawsze zaufanie do starszych i zamyka się przed nimi, stwarzając własny świat prawdy i ideału, tak często różniący pokolenia: starsze i młodsze.

Branie dziecku za złe pytań z tej dziedziny (a bywa tak!) jest wprost bezsensownem i całkiem pozbawionem jakiegobądź racji. Dziecko, poznając świat i otaczające zjawiska i rzeczy—staje przed problemem dlań niezrozumiałym i pyta. Nieuświadomione przez nas, będzie narażone na cały szereg brutalnych i cynicznych kłamstw i wykrętów, wkońcu—na ławie szkolnej, lub ulicy nagle, w sposób zgoła nieoczekiwany i bez żadnego przygotowania, uświadomione zostanie.

Fakty powyższe przemawiają, zdaniem mojem, bezwarunkowo za wczesnem uświadamianiem i rozstrzygają tem samem pytanie: czy należy?...

Na zapytanie: kiedy i jak uświadamiać? krótko odpowiem: wtedy, kiedy dziecko pyta, kiedy naprawdę poważnie interesuje się danem zagadnieniem i zależnie od tego, jak pyta, zależnie od przyczyn, czy pobudek, które spowodowały pytanie.

Szczegółowe omówienie tej kwestji znajdują czytelnicy w broszurze M. Konara p. t. „Jak uświadomiłam mojego syna?“ („Książnica“: Warszawa—Lwów). Zbyt szczupłe ramy tego artykułu nie pozwalają na wyczerpujące omówienie nader palącej tej kwestji.

Wreszcie, mamy już dziś całą literaturę, poświęconą temu zagadnieniu. Tu jeno krótko je poruszę. Kwestja macierzyństwa, ciąży, a nawet położu, aczkolwiek realna, nadaje się do omówienia w bardzo wczesnem dzieciństwie, (syn mój już jako 3-letnie

dziecko był pod tym względem uświadomiony, i stało się to jednym więcej węzłem tkliwego uczucia pomiędzy nami i uczucia czulej troski o każdą ciężarną matkę i t. p.).

Czynić to należy bardzo oględnie, możliwie przechodząc od świata roślinnego (zarodek jajka kurzego, słupki i pręciki późniejszego owocu, liścienie fasoli) do zwierzęcego, od ameby, do ssaka; uświadamianie rozkładając na długie miesiące, na pogadanki, w pewnych odstępach czasu po sobie następujące. Naga prawda, owiana miłością macierzyńską, i uchyłająca rąbek istotnego życia, tyle zagadek ukrywającego przed dzieckiem, zaspokoi na długie lata ciekawość jego, aż w pewnej chwili zapyta znów: „a tatuś, dlaczego się mówi, że on mi dał życie“?

Gdy się nie da odwlec odpowiedzi dziecka na później, należy i tutaj dać odpowiedź jasną, a krótką—powołując się na wyjaśnienia, dawniej już udzielone, i podkreślając wyższość człowieka i jego wzajemnych do innej płci stosunków,—których podstawą miłość duchowa i głęboki wzajemny szacunek i zrozumienie być winny—nad zwierzęciem każdym, u którego pociąg zmysłowy chwilowy decyduje o zbliżeniu.

Że nie należy stawiać tu kropek nad *i*—to się samo przez się rozumie. Najważniejszą rzeczą jest przekonanie dziecka, że na dziś ma wyczerpujące w danej sprawie wyjaśnienie, że może i powinno w każdej kwestji, w każdej chwili do nas się zwrócić, i nie należy mu poruszać dla różnych przyczyn (wyjaśnić, jakich) danych kwestyj w rozmowie z kolegami, czy nawet dorosłymi, którzy wprost nie rozumieją jak taki malec może wiedzieć „o takich rzeczach“? i tylko zgorszyć się tem mogą i podejrzeniem niesłusznem skrzywdzić dziecko. Uświadomienie, co do ojcostwa, winno wyprzedzić okres t. zw. pokwitania u chłopców, analogicznych objawów dojrzałości płciowej u dziewcząt—

gdyż wiek ten przejściowy, to wiek, złączony z brakiem równowagi psychicznej, z większą nerwowością dziecka, które, jako bardziej wrażliwe i niespokojne, jest w tym czasie mniej odporne na tego rodzaju objawienia prawdy.

Otoczenie winno dostarczyć dziecku w tym czasie wielu innych, mogących je niemniej zaciekać, tematów, ze świata: przyrodniczego, sztuki, rzemiosła, skierować młodzież—zgodnie ze wskazaniem lekarza, w każdym poszczególnym wypadku—do używania sportów, gier i zabaw ruchowych, lekkiej gimnastyki, wdechów, kąpieli i t. p. Powinnoby otoczenie, tak domowe, jak i szkolne, ukazywać młodzieży dorastającej życie i pracę ludzi na roli, przy warsztatach i fabrykach, w sejmie i gabinetach ministerjalnych i t. p.; powinno zainteresować młodzież jej własnem życiem w szkole (spółdzielnie, kooperatywy, nauka i sztuka) oraz w domu (radio, gospodarstwo, lektura), a pozo- stanie jej zbyt mało czasu na rozstrząsanie kwestji, dotyczącej stosunku obu płci, ich wzajemnego ku sobie pociągu i t. zw. miłości.

Nareszcie, po okresie pokwitania należałoby uświadomić młodzież, co do chorób wenerycznych, handlu żywym towarem i t. p., budząc w dziecku głęboką nienawiść do istniejącego w tym względzie porządku rzeczy i chęć do walki z istnjącymi, tak bardzo krzywdzącymi kobietę, dotychczasowymi zarządzeniami we wszystkich, najbardziej, rzekomo, kulturalnych i cywilizowanych krajach.

Młodzież nasza winna iść dalej, niż my, winna głębiej zjawiska życiowe ujmować! W tem rozumieniu zdobądźmy się na odwagę stopniowego schodzenia im i ich ideałom z drogi, żądając wzamian wyrozumiałości i szacunku, należnego czystej naszej przeszłości. Była ona (winnaby być), pomimo wielu błędów i uchybień—pasmem prac i trudów, które się stały podłożem dla ich dzisiejszych dążeń i zamiarów.

M. H. SZPYRKÓWNA

SAMODZIELNOŚĆ SAMOTNYCH DZIEWCZĄT



spólnota mieszkaniowa, czyli klub, zarówno u nas, jak w Ameryce i, sędzę, wszędzie, obejmuje przedewszystkiem kobiety niezamężne, głównie zaś młode dziewczęta świeżo po ukończeniu studiów średnich. Wiek niebezpieczny, jakkolwiek bynajmniej nie ten, o którym pisała słynna autorka Karin Michaelis, u nas należy, zapewne słusznie, do lat najbardziej strzeżonych, ile że dziewczęta wychodzą już z pod bliższej opieki, a jeszcze nie zdążyły, zdaniem starszych, nabyć ek-

sperjencji życiowej. Ach, ta eksperjencja!... Kiedy zdążyło jej się nauczyć małe kaczkę, zdążające nieomylnie do wody, wręcz przeciwnie od małego kurczęcia, które od wody ucieka?..

Sędzę, że tradycje amerykańskich kobiet, ścigających po stepach mustangi z lassem w powietrzu, na równi z cowboyami, i biwakujących pod gwiazdami: więcej, niż my, mieszkanki miejskich inkubatorów, polegają na instynkcie. W każdym razie to, cobyśmy nazwali „nauki moralne“, w sensie niebezpieczeństwa męskiego, jest do dziewcząt stosowane w niezmiernie

słabym stopniu. Niepomniernie więcej miejsca moralność wydziela problematom etycznym, które tam, zresztą, już są poprostu postulatami. Dotyczą zawsze zagadnień ogólnoludzkich. Na tem tle powstają takie, zupełnie nie do pomyślenia u nas, instytucje, jak Armja Zbawienia—wyszydzana, szykanowana, ale niemniej istniejąca i przynosząca korzyści nieobliczalne. Poprostu, pewna grupa ludzi postanowiła sobie iść do tych sfer, gdzie już nikt inny z dobrej woli nie pójdzie, i ludziom, żyjącym z grzechu i grzechem, mówić, śpiewać, czytać i deklamować: — Bracia, żyjecie w grzechu, a grzech jest złem najwyższym: bracia, przychodzimy do was, abyście się nawrócili!.. Można sobie wyobrazić starych bandytów i sceptyków-robociarzy przyśłuchujących się takim serenadom ducha! Na co są narażone młode i przeważnie „bardzo dobrze“ dziewczęta, należące do propagandy Zbawienia, łatwo sobie dośpiewać — i jest to bohaterstwo idei, jak każde inne, godne najwyższego podziwu. Taki głos, mówiący o Bogu, jest nieraz jedynym Bożym głosem w środowisku nędzy i przekleństw—jedynym, który do nich przychodzi sam — do tych, którzy od niego odeszli.

Ameryka inaczej obstarwiła gwarancje moralności dla młodych dziewcząt — i bodaj w sposób stokrotnie bardziej zasadniczy i skuteczny: prawnie. Powiada słusznie: Nasze dziewczęta nie mają czego się bać, o ile z dobrej woli na niebezpieczeństwo nie pójda, a to już do nas nie należy: jest to osobista sprawa każdej z nich. Mężczyzna, w jakiegokolwiek mierze nadużywający swojej przewagi nad kobietą, jest przez nasze prawo pociągany do najsurowszej odpowiedzialności, poczynawszy od... małżeństwa. Cóż więcej, jako państwo, zrobić możemy? A że poszczególna Fanny, czy Betty, da się uwieść, wiedząc, że na każde jej zeznanie niewierny kochanek będzie jej mężem, lub wypłaci odpowiednie odszkodowanie prawne: cóż my na to poradzimy? Postępuje wbrew własnemu najprostszemu interesowi, a nikogo przeciw niemu samemu bronić niema sposobu.

I na tym też gruncie stoi wspólnota mieszkaniowa amerykańska. W klubie Y. W. C. A. przyjrzałam się obficie stosunkom na tem tle i, wyznaję, z podziwem, żeby już nie rzec: z zazdrością. Nie! U nas toby się jeszcze przeprowadzić nie dało! Nie dało, ani ze stanowiska mądrej wyrozumiałości istotnej kierowniczek klubu — siwowłosych pań — ani ze strony mieszkank, złotowłosych „girls“. Drzwi od rana do północy są otwarte dla każdego, kto ma interes, lub chce, poprostu odwiedzić dziewczęta. Chcę dobrze wytłumaczyć, o co mi idzie: to odwiedzanie dziewcząt przez ich boyów jest nietylko tolerowane jaknajszerzej, ale nawet uważane za konieczne w swej normalno-

ści zjawisko. — Dziewczęta muszą widywać się ze swymi przyjaciółmi chłopcami! — mówi zarząd. — Na to są młode i ciężko pracując w dzień, powinny rozerwać się i mieć trochę radości. Inaczej życie byłoby za ciężkie. Dlatego właśnie mamy w klubie salony i saloniki, aby mogły ich przyjąć tu, bo nie łudzimy się, że, wrazie zakazu z naszej strony, widywali by się i tak — ale, zapewne, w stokrotnie bardziej niebezpiecznych warunkach.

Taka, która udaje, że wogóle nie ma żadnych zainteresowań w tym względzie, jest albo nienaturalna, albo nie poznała jeszcze ducha naszego klubu i widuje się na ulicy, w kinie, lub jeszcze inaczej. Nie chcemy wcale, aby klub stał się domem poprawczym: chcemy, aby był to dom — możliwie rodzinny dom! I tak mu zawsze do tego dużo brakować będzie!

Tak mówi zarząd — i tak czuje przeciętna amerykańska girl, która musi mieć swego boy'a, jeżeli nie chce wypaść z tonu. Idzie z nim do kina, na dancing, na spacer, na kolację, gdzie jej się, zresztą, zamarzy — z tem, aby w klubie zpowrotem była na jedenastą, kiedy zamykają się drzwi i trzeba dzwonić. O ile podzwonkowe powroty są zbyt częste i spóźnione — ingeruje „opieka moralna“, w postaci zainteresowania się, co panienkę do tego trybu skłania. Nieodpowiednie zachowanie moralne, o ile tylko zostanie ujawnione, pociąga za sobą bezwarunkowo eksmisję: „nie mamy pieniędzy dla dziewcząt, które, zamiast się uczyć, korzystają z naszych ulg dla nadużyć“. I kara doraźna spada, skuteczniejsza od wszelakich upomnień, bo — życie w klubie z całodziennem doskonałem utrzymaniem wynosi tyle, co sam pokój na mieście — 7 do 9 dol, tygodniowo, a przy wspólnym pokoju jeszcze taniej. A każda amerykanka przedewszystkiem widzi interes. Niedarmo wszakże są córami kraju, którego nieprzetłumaczalnym słowem jest słowo: byznes!

Tak więc, moralność samotnych amerykańek jest obstarwiona dwoma Cerberami, wiernie strzegącymi jej wrót: prawo państwowe, ścigające nadużycia męskie — i interes własny kobiety, któremu prawo zawsze idzie na rękę. Tak że już istotnie trafić w sidła męskie może kobieta, albo wrazie zdecydowanego zamachu zbrodniczego, albo — samochcąc — wszelkie zaś inne komplikacje są znakomicie unieszkodliwione przez chytrą legislaturę. Jakież morze różnic leżałoby

w technice takiego klubu u nas! Musielibyśmy przekształcić od dna nasze pojęcia najgłębsze — i zapewne wprowadzić nowe paragrafy w kodeksie, aby taki „salon“ w klubie na 500 dziewcząt nie stał się ani więzienną rozmównicą, szpiegowaną przez niewidzialne oko moralności, ani — salonem jeszcze dużo gorszego kalibru. Swoboda bez nadużycia jeszcze nie jest naszym przywilejem na



żadnym polu, nietylko na polu moralności — i zamało wprowadzamy interes, jako czynnik moralności. A jednak, od czasów misjonarzy, nawracających murzyna zapomocą wełny na ubranie i czekolady, i aż do kanonów kościelnych, operujących obietnicami dóbr wyższego gatunku: interes, mniej lub więcej zaznaczony, musi być w podłożu wszystkiego, co wymaga trudu, aby się trud ten udał. Ułgowe warunki dla kandydatek, przestrzegających konstytucji klubu, i cofnięcie tychże nieodpowiednim: stanowi niewątpliwie cło u porządku i karności w najgłębiej podświadomych pokładach. Sądę, że u nas nie byłoby inaczej — tylko, że pomiędzy nieodpowiednością u nas, a tam — istnieje cały Atlantyk różnic. U nasby zasadniczo nie tolerowano, aby młoda dziewczynka — na codzień! Bez opieki!.. Bóg wie gdzie!.. szastała się z chłopcem! I trzeba z tem jakoś jeszcze sobie poradzić, aby znaleźć nie amerykańską, wprawdzie, ale i nie staropolską może linję pośrednią, któraby nasze dziewczęta mniej trzymała strachem kontroli, a więcej — własnem przeświadczeniem. Jest to kwestja pokoleń.

Nawiasem, jakkolwiek nie należy to ściśle do rzeczy, wspomnę, że pierwiastek umoralniający w klu-

bie istnieje — i to silnie zaznaczony, ale zupełnie inny w formie niż u nas. Jest to strona społeczna życia kobiecego. Co tydzień, nieraz częściej, zjeżdżają do klubu z różnych stron świata różne bojowniczkich ruchu kobiecego z najdalszych zakątków świata, wyłapywane przez zarząd w ich przelotach przez stolice. W kaplicy, która jest zarazem salą odczytową, przewija się wtedy przed słuchaczkami cały szereg wspólniały „rekordów“ pracy kobiecej po różnych krajach i w różnych dziedzinach — nowe pola zarobkowe, nowe osiągi sportowe, nowe dziedziny w każdej linii rozwoju ducha kobiety nowoczesnej. O mężczyźnie mówi się dziwnie mało, jako „niebezpieczeństwo“, powiedziałabym, że jest to jedynie słuszne stanowisko. U nas kwestja męska przechodzi jeszcze niepotrzebne i szkodliwe „elephantiasis“, które wyolbrzymia ją nieproporcjonalnie do miejsca, jakie w życiu zajmować musi: a więc śliśle lirycznego. Co nadto jest, od złego jest!.. — jak mówią księgi. A przecież i poezji lirycznej możemy normalnie udzielić tylko część miejsca w wielkiej księdze ludzkości, gdzie mężczyzna i kobieta zarówno wpisują najznakomitsze swoje — bo nie liryczne, lecz powszechne — osiągi i zdobycze.



WANDA BORUDZKA

FELICJA KRUSZEWSKA

„PRZEDWIOŚNIE“. „STĄD — DOTĄD“

To samo zmęczenie, ale już w innej formie: zmatowania duchowej akcji, biernego poddania się zdarzeniom, znajdziemy w wierszu „Pociąg“.

Jest on cały pół-snem, zagubieniem, pół-świadomością majaczeniem. Nastrój, właśnie nastrój, niepewności, kołysania, potrącania, wstrząsu, nadaje jakiś balladowy charakter temu wierszowi.

Uważne wczytanie się, w sensie uległego poddania świadomości, oderwania się nawet od treści, gwoi łatwiejszemu nasiąknięciu rytmem, krótko mówiąc, potraktowanie tego wiersza od jego strony muzycznej, najskuteczniej odsłoni przed nami jego walory:

Ach! wszystko będzie nieprawdą, ach! wszystko będzie legendą,
że jakiś pociąg widmowy tak prędko uniesie mnie w dal.

Już to pierwsze powtórzenie zacznie nas jakby usypiać, wprawi w rytm kołysanki:

Zadzwonią coś i zadźwięczą tafle wstrząsanych szyb.

jeszcze to bardziej podkreśli, a już

Na drodze mosty się sprężą, zwężą i zadygoczą.

swoją wyraźną onometopeicznością nie pozostawi nam żadnych wątpliwości, co do intencji autorki — oddania nas rytmowi jazdy. Tu już nie znamy wahań: jedziemy pociągiem. Nie wyjdziemy z tego, aż do końca, do miejsca, kiedy się pociąg zatrzyma:

Wtedy już zgadnę odrazu, że to jest moja stacja,
że tu jest całej podróży w mgłę zagubiony kres.
Pokłoni się aż do ziemi naga, bezlistna akacja,
prędko, prędko przełknę dwie smużki palących łez.
Aż do dna smutek wysącze małą z kryształu czarką
i będzie sennie i jeszcze bezdennie smutno i źle.
Na stacji będzie ktoś czekał z malutką, ślepą latarką,
a pociąg, pociąg widmowy — cały rozplynie się w mgłę.

Jak widzimy, ostatni obraz zupełnie nam tego stanu pół-snu, pół-jawy nie rozproszy. Przeciwnie, do-

zuci jeszcze rys baladowości skojarzeniem bezlistnej akacji, bezprzyczynowego smutku i kogoś—o kim tyle tylko wiemy, że ma tę (jakże właśnie balladową!) ślepa latarkę i czeka.

Mimo wszystko, jednakże jest coś, co zawsze — i nie tylko w „Przedwiośniu“, wyrwie autorkę z tego stanu przygnębienia, zahamowania sił życiowych. Tym elementem, uzdrawiającym odrazu, będzie — wiosna.

Dwa opisy wiosny (oprócz tytułowego wiersza) mamy w „Przedwiośniu“.

Jeden jest próbą (zobaczmy zaraz, jak udaną) skoncentrowania całokształtu płynących od niej wrażeń w 3-ch czterowierszach:

Na wiosnę wszystko inaczej dzwoni.
Na wiosnę wszystko inaczej dźwięczy,
sto oszalałych, spienionych koni,
przesadza obręcze z tęczy.

Na wiosnę ziemia pachnie fiołkami,
wiatr rozkrajany pachnie ogórkiem.
Deszcz szare bruki bije kropkami,
jak lśniącem, stalowym sznurkiem.

W marzeniu nagle rozblękitniałem
śnią się przyjazdy, śnią się wyjazdy.
Życie ponosi i pędzi cwałem,
i zamiast podków — ma gwiazdy.

Wiersz ten składa się cały z dźwięków i zapachów, ale najwięcej operuje ruchem. Z wiosennych zjawisk najwyraźniej wyłonił się pęd życia, jego intensywność.

Drugi z wierszy wiosennych: „Co dziś można“ zbliżony jest do niego koncentracją przytoczonych zjawisk — skondensowaniem poszczególnych przejawów, ale jest jakby ujęciem tego zjawiska od zupełnie innej strony.

W przeciwieństwie do pierwszego, gdzie wszystko jest napięciem ruchu, ten jest zapatrzeniem się w jeden moment, kontemplacją, oddaniem chwili, unieruchomienie jakby w czasie, gwoździ jej pełniejszemu rozważeniu.

Obie wiosny się, zresztą, bardzo wczesne. Obie są, bodaj że przedwiośnią:

Gładzić paki kasztanów jest i miękko i lekko,
Usta są dziś słodczy i uśmiechów kolebką,
Słowa—tylko na rzeczach niepotrzebną nalepką.

Kochać, myśleć miłośnie jest radośnie i młodo,
Można się, jak melonem, opić złotą pogodą
i przydrożne kamienie topić z pluskiem pod wodą.

Można własne wyrazy tęczyć, perlić, rozdzwaniać,
Samą siebie uchwycić, siebie z głębi wyłaniać,
Można komuś przeczyć i niczego nie wzbraniać.

Oba te wiersze wyłamują się z całego zbioru dojrzałością. Są wytrzymałe, wystające, wyciągnięte do

ostatniej linii. Mają one tę właśnie okragłość artystyczną, geometrycznie zamkniętą linię formy.

Zarazem widzimy tu jeszcze wyraźniejsze wyłonienie nowego elementu radości życia: oddziaływanie przyrody. Będzie ona prawie zawsze tym punktem szczęśliwego nawrotu do życia. Ale już nastąpiło rozdwojenie psychiczne w kierunkach „złe“ i „dobrze“, i jeśli odtąd będą przychodziły nadmiary sił życiowych, to często poto, żeby wyrównać deficyty. I, jak zobaczymy w „Stąd—dotąd“, nie zawsze tych sił wystarczy!

* * *

Ze wszystkiego, co się mówiło o „Przedwiośniu“, nie należy bynajmniej wnioskować, że tylko tym rozdwojonym szlakiem — smutku i radości — potoczy się dalej bieg psychicznych zdarzeń.

„Stąd — dotąd“, jak to wynika z samego tytułu, jest właśnie tym wyraźnym dalszym etapem twórczości. Znajdziemy w nim zupełnie nowe elementy, nie powiązane niczem z „Przedwiośniem“. Tam, bowiem, mieliśmy jasno zaznaczoną kolejność faz poszczególnych, stopniowe nawarstwienia przeżyć. W „Stąd—dotąd“ wchodzi trzy cykle, trzy grupy, raczej, niewynikające bezpośrednio ze siebie, nie zazębione niczem, nieomal że równoległe. Jest to książka o wejściu i wyjściu na przestrzał otwartych. Czujemy się cały czas na przeciągu. Mamy w niej ów typowy ciąg dalszy: odcinek życia, — właściwie, kilka jego odcinków „A Medley“, „Piosenki Biedactwa“, „Owoce“.

Z tych trzech—dwa tylko możemy nazwać cyklami. Do pierwszego wprowadzi nas najsukuteczniej wiersz, można by rzec, tytułowy, z grupy „A Medley“ — „Biedactwo“.

W tym jednym tylko odnajdziemy odrazu nić, łączącą z „Przedwiośniem“: ów właśnie wątek żalu do życia za rozmaite w niem niedobory. Żal ten będzie ujęty w jego fazie nie ostrej, nie zgrzytliwej i nie zbuntowanej — zmęczenia.

Wiersz cały utrzymany jest w tempie odmierzonym, powolnym, wszystko będzie w nim powiedziane półgłosem. Ani jednego wołania o pomoc, ani cienia mocnego protestu. Spokojne przewinięcie faktów jednego po drugim w kolei zdarzeń, przychodzących odzewnątrz. Odnajdziemy w nim zaraz ton skargi — nienatarczywej, nie uprzykrzającej się w niczem.

Smutek jest w każdej myśli, a łza jest w każdym słowie.
I wszystko, co się dzieje, bije mnie młotem po głowie

Z pierwszej strofki widzimy odrazu nową skalę odezwań. Nie będzie to cofnięcie się, ani ograniczenie zakresu przeżyć: poprostu, przeniesienie ich w nową płaszczyznę doznawań dziecka.

(d. c. n.)



MARYLA CZERKAWSKA

ŻYWOTY

KALINA

Z jednej strony mur wysoki, wysoki —
Z drugiej strumień przepaścisty, głęboki —
A w pośrodku na brzeg stromy się wspina
Młodziusienka, zieleniutka kalina.

Jakże przebyć wszystkie życia podróże
Przy tym murze, gdzie krwi krwawią się róże —
Jakoż przetrwać wszystkie ziemskie przygody
Nad otchłanią niezdobytą złej wody.

Pasek ziemi taki mały i wąski —
Mur odpycha krwawą dłońią gałązki —
Wiatr potrąca, bratniej ręki nie poda...
A na dole skon, śmierć, grób — czarna woda.

Jakż siłą z wodą, z murem się zmierzyć —
Komu ufać, gdzie się oprzeć, w co wierzyć —
W twardość cegieł — w bezkres zimny, bez głosu —
W nurt mącący myśli szumem chaosu? —

— Za swem nikłem, bladym śledząc odbiciem
Zadumała się kalina nad życiem —
A tu ono szło wiośnianem powietrzem
Kolorowo trzepotało na wietrze.

— i musiała gałązeczki rozwinąć,
Kwiat roztulić i żadnego nie minąć —
Zapominać pośród ciepła czy chłodu
Że głęb rzeki śmiercią straszy z pod spodu.

— Wiatr odleciał — trzeba było mdłe gronka
Rozpłomieniać i ogrzewać do słońka —
Nie pamiętać, że mur stoi wysoki
Dla jagódek z rosy, z ziemi brać soki.

— I przebyła wszystkie życia podróże
Przy tym murze, gdzie krwi krwawią się róże.
— I przetrwała wszystkie ziemskie przygody
Nad otchłanią niezdobytą złej wody.

STARUSZKA

Na wesele wiosny,
Na ten dzień jedyny
Staruszczenka,
Jabłoneczka
Związała pod brodą
Wstążek seledyny.

Na ten uroczysty
Poranek majowy
Zmarszczki, blizny
I siwizny
Skryła pod czepeczek
Biały, muślinowy.

Odmłodzona, czule
Pogwarza z pszczołami —
Uśmiech kruchy,
Wspomnień puchy
Nad agrestowemi
Sypie szpalerami.

Z przygnębienia, smętku
Nie zostało znaku —
Staruszczenka
Jabłoneczka
Prosto, rażno kroczy
W weselnym orszaku.

I dopiero jutro
Gdy wiosna odfrunie
Poszarzeje,
Posmutnieje,
W starczej bezradności
Czepek z głowy zsunie.



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

1

MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela



Sierpniowa noc jasna, srebrzysto-zielona. Księżyc, już prawie w pełni, płynie, jak po zielonej wodzie. Sieje wokół siebie brzask, niby daleki reflektor. Przeciętne powietrze jest wilgotne, a ziemia ściele się pod nim, jak dno oceanu. Płasko przysiadły zabudowania folwarczne, poniżej jeszcze rozbiegła się łąka srebrna, jak ława piasku. Las i park są czarne, gęsto skupione i lśniące, jak zwał namułu. Dwór jarzy się oknami i, niby potworna ośmiornica, rozpajęcza się cieniem, wydłuża ramionami białych ścieżek gazonu.

Hipolit, jak nurek, płynie bezładnymi ruchami w nurtach księżycowego światła. Zapadł się w mroczne kurytarze, rznęte ostro pomiędzy stertami. Przeplątał się po zygzakach cieniów, leżących pod ścianą wozowni. Umknął w bok przed groźnymi zębami siewnika. Wgarnął się, wreszcie, w kopiec siana, oparł się plecami i stanął twardo, jakby dopiero tu poczuł grunt pod nogami. Skrył go czarny stożek rzutu, rysujący się na ziemi.

I wtedy rozeznał się Hipolit w wilgotnym aromacie trawy, pomieszanego z koniczyną. Odetchnął szeroko i głośno.

— Jak mało powietrza wciągają płuca człowieka!

Na łące prychały konie, i krótki, tępy pogłos odzywał się równym rytmem. Siano wydawało ostry, prztykający szelest. Raz, dwa razy ćwierknął konik polny żałośnie i niecierpliwie. Postukotała cisza w sercu i rozeszła się w pasażu błogiego zadowolenia. Ale wnet wdarł się nadbiegły z łąki, długim pasmem rozciągnięty śpiew:

Try noczi ne spała
Dribnij łyst pysała
Hej — o — hej — dribnij łyst pysała...

Hipolit wtórował cicho:

Hej — o — hej...

I pomyślał.

— Dziwne, jakby motyw z „Księżycowej Sonaty”. Kto sprzął te dźwięki? Dlaczego zesła się melodia mistrza z ukraińską śpiewką? Czyżby to był motyw księżycy?

Drózką wzdłuż parkanu przemknęły dziewczęta, jak duże, przyziemnie fruujące ptaki.

— Pognały na łąkę do chłopców! I to także „księżycowy motyw”. Tajemnica nocy. To nic, że jestem świadkiem. Noc kładzie mi obowiązek milczenia na usta. Wiem i nie wiem. Nie pamiętam.

— Jest tajemnica nocy i tajemnica miejsca. Sprawy, które się działy w innych, dalekich stronach, są tu niebyłe.

Hipolit wyciągnął przed siebie ręce.

— Ręce idą w światło, jak w wodę. Zmywa je chłód powietrza.

Wistocie, dłonie zawisły w powietrzu, jak srebrne liście. Oderwały się w brzask i dygotały zlekką.

Hipolit patrzył na swoje ręce, odbiegłe od niego i jakby obce.

— Któż wie, co uczyniły te białe, piękne ręce, te palce, długie i prężne? Znają ich sprawne posłuszeństwo — księżyc, woda i ja...

— Może się więc po stokroć razy powtórzyć obraz na filmie wspomnień, może się śpiesznie przesunąć na płaszczyźnie widzenia bezbarwny cień. Tajemnica wypila z niego życie, przydusiła ciężką dłonią wołający głos.

— Wspomnienie jest sojusznikiem tajemnicy. Owija się w białe gieżło, jak cichy duch. Przychodzi zagnała i szybko przepada. Kładzie ostrzegawczo palec na bezkrwiste usta. Mówiąc sypkim szeptem, za przysięga niepamięć.

— Wspomnienie jest, jak widmo. Widzi je ten tylko, komu się zjawi.

Ręce Hipolita opadły z powrotem w mrok.

— Trzeba, aby była noc. Dla snu dobrego. Dla krótkiej pamięci. Dla przepadłych wydarzeń.

I dodał jeszcze:

— Dla wspomnień, zamkniętych okrągłą pieczęcią księżycy. Księżycy, wiernego sekretarza. Między niebem a ziemią zawieszona bulla argentea daje świadectwo przymierzu milczenia.

Hipolit spojrział w górę. Odszukał ślepe oczodoły księżycy, porozumiał się z niemym uśmiechem szeroko rozciągniętych ust.

— Możemy sobie teraz powtórzyć dzieje jednej nocy, pokolei, jak szły po sobie wypadki:

...Więc najpierw jej twarz powiększona, bliska. Oczy, które mnie nie widzą. Zęby w rozwarcie cudnych warg. Drganie uśmiechu, godzącego we mnie, lecz nie dla mnie przeznaczonego.

Plaża jaskrawo-biała od poświaty księżycy. Morze ma kolor mosiądzu. Fala splata się przy brzegu w sztywny metalowy wianek.

Chodzimy we troje. Jesteśmy w świetle wyblizowani, jak pasy płótna na łące. Pod brzękiem leniwej rozmowy wre, burzy się, warczy niepokój.

— Więc jedziecie dziś?

— Tak. Łódź już zamówiona, noc spokojna.
— Ale pamiętajcie, że przy grocie rafa podwodna!
— Wiemy, wiemy! Księżyc świeci prawie do dna morza!

Żermena zwraca się białą twarzą do Jana.

— Przywiezie mi pan te ślicznie szumiące muszle?

— Przywiozę muszle i zielone kamienie.

Mała łódka pluszcze się po powierzchni morza. Mija biały łuk plaży, mija czarny zalesiony brzeg. Tnie naukos fale.

Jan siedzi na przedniej ławeczce, ja za nim. Poruszamy rytmicznie wiosłami. Jest ciepło. Nie mamy na sobie surdutów. W świetle księżyca lśni jedwab koszuli Jana. Widzę, jak skrzydła jego mocnych łopatek układają się w łuk wypukły, w łuk wklęsły.

Zdjęliśmy białe marynarskie czapki. Złote włosy Jana wyblakły w księżycu na srebro. Na karku błyszczą krople potu.

Jan składa wiosła i zapala papierosa. Płomyk zapalniczki wytrysnął czerwonym kwiatem. Wiosłuję sam. Łódź płynie powolniej. Zrazu kolebie się, jak kołyska, ale wnet wraca do równowagi, skacze na fale i tańczy już gładko z górki w dół, z dołu przez górkę. Księżyc rozlewa się w wodzie w postrzępioną płachtę srebrem tkanej makaty.

Znowu podbiega ku nam brzeg. Nastawia się groźnie. Wypiętrza stromo.

— Grota — mówi Jan i rzuca papieros w wodę. Płyniemy rażniej. Oddycham szybko, zgrzytliwie.

— Teraz ostrożnie! omijać rafę! Bierz na lewo! Nagły odrzut łódki, szeroki płas w lewo. I już powoli, rozważnym rytmem wsuwamy się w podskalny cień.

— Latarkę masz?

Głos staje się głuchy i trwożny. Nieznacznie odkładam wiosła. Wyciągam przed siebie ręce. Zgra białe palce, zagięte, jak szpony, czują jeszcze chwyt.

Podpływamy. Czarna plama otworu groty rośnie. Chłód wibruje lekko, jak powiew wachlarza.

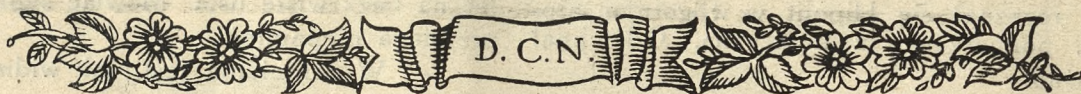
— Jesteśmy!

Wtedy szybko zatapiam wiosła w miał kamieni i popycham łódkę raz, dwa razy wstecz.

— Co robisz?

Jesteśmy znowu twarzą w twarz z księżycem. Wychylił się z za skały i patrzy.

Patrzy, jak ramiona wysyłają przed siebie ręce. Ręce chwytają wilgotny jedwab koszuli. Unoszą w górę postać olbrzymiego, trzepocącego się kraba. Szamotanie się. Krzyk. Łódka cofa się w chybotliwych podrygach. Przechyla się. Dwugłos krzyku. Tępy plusk. Woda kotłuje się. Burzy. Wytryska wgórę. Obniża w głęboki lej. Zamyka się, wygładza.



J. CONRAD

6

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatarkiewiczowej

— Nie zarabiam przecież na życie gadaniną o ludzkich sprawach—bronił się Renouard, lecz zbliżył się posłusznie i siadł w fotelu.

— Dlaczego jesteś pewien, że on w tej chwili nie jest tam, na ulicy? Nie jest to bardziej nieprawdopodobne, niż każde twoje poprzednie przypuszczenie.

Redaktor, ugłaskany posłuszeństwem Renouard'a, przyglądał mu się przez chwilę.

— Zaraz wytłumaczę ci, dlaczego. Przedewszystkiem muszę ci powiedzieć, że rozpoczęliśmy kampanję. Roztelegrafowaliśmy do policji, do każdej gminy jego rysopis, a co więcej, upewniliśmy się, że był tutaj przynajmniej przed trzema miesiącami, ale nie mogliśmy się dowiedzieć, kiedy stąd wyjechał.

— To ciekawe.

— Bardzo było łatwo przekonać się o tem. Panna Moorsom pisała do niego, adresując na tutejszą pocztę zaraz po powrocie do Londynu ze swej wycieczki na wieś do starego służącego. List ten leży dotychczas na poczcie, nikt się o niego nie upomniał, ergo—miasto nasze nie jest miejscem jego stałego zamieszkania. Nie przypuszczałem tego nigdy, lecz kiedyś musi tu jednak przyjechać. Nasza nadzieja polega na pewności, że prędzej, czy później zjawi się w mieście, gdyż, jak wiesz, nie dowiedział się dotychczas o śmierci służącego, przyjedzie więc po list od niego i zastanie wówczas kartkę od panny Moorsom.

Renouard milczał i myślał, że było to dość prawdopodobnem. Głęboki wstręt, jaki budziła w nim ta rozmowa, powlokł znużeniem jego energiczną i sma-

głą twarz, a oczy zamgliły się jeszcze bardziej melancholją. Redaktor, w myśl swej teorii, wszystkie te objawy zaliczył do dalszych dowodów nienormalnego odsunięcia się Renouard'a od ludzi, jego obojętności na cudze uczucia, podsycanej niezdrową atmosferą odosobnienia. Głośno zaś zauważył, że, dopóki ktoś pisuje, nie można go uważać za zaginionego. Zbiegli zbrodniarze nieraz bywali w ten sposób odszukiwani przez policję. Nagle, zmieniając temat rozmowy, zapytał Renouard'a, czy w ostatnich czasach miewał wiadomości od swej licznej rodziny, i czy wszyscy jej członkowie są zdrowi i szczęśliwi,...

— Dziękuję, wszystkim się dobrze powodzi.

Renouard odpowiedział krótko, jak gdyby chciał położyć kres zbytnej poufałości. Nie lubił, aby go pytano o rodzinę, względem której odczuwał głębokie i pełne skruchy przywiązanie. Od lat nie widział już nikogo z bliskich, do których, zresztą, nie był wcale podobny.

Zaraz pierwszego ranka po przyjeździe do miasta poszedł do biura Dunster'a i tam wyjął ze skrzynki z napisem „Malata“ kilka zaledwie listów, z których parę zaadresowanych było do niego samego, a jeden— do jego pomocnika. Wszystkie były wysłane na ręce firmy W. Dunster i S-ka. Zależnie od okoliczności, firma ta wysyłała korespondencję na Malatę krążownikiem wojennym, lub parowcem handlowym, jadącym w tamtą stronę. Lecz wprzeciągu ostatnich czterech miesięcy nie zdarzyła się żadna okazja do wysłania listów.

— Czy masz zamiar długo tu zabawić?—zapytał redaktor po dłuższej chwili milczenia.

Renouard odparł z obojętnością, że niema powodu, dla którego miałby się tu zatrzymać dłużej.

— Dla zdrowia, dla twego zdrowia duchowego, mój chłopcze,—nalegał dziennikarz—dla przyzwyczajenia się do ludzkich twarzy, aby nie robiły na tobie takiego wrażenia, gdy chodzisz po mieście, dla nabrania życzliwości dla twych bliźnich. Zapewne możesz się spuścić w prowadzeniu interesów na twego pomocnika.

— Mam także metysa portugalczyka, który zna się na wszystkim.

— Ach, tak.—Redaktor spojrzał badawczo na przyjaciela.—A jak się nazywa?

— Kto taki?

— Ten twój pomocnik, zgodzony przez ciebie podstępnie, poza moimi plecami.

Renouard uczynił nieznaczny ruch zniecierpliwienia.

— Spotkałem go wypadkiem pewnego wieczoru; myślałem, że będzie dla mnie tak dobry, jak każdy inny. Przyjechał ze środka kraju i nie zdawał się być zadowolony z pobytu w mieście. Powiedział mi, że się nazywa Walter, a rozumiesz, że nie pytałem się go o dowody.

— Wydaje mi się, że niebardzo się z nim zgadzasz.

— Z czego to wnosisz?

— Nie wiem. Może dlatego, że niechętnie mówisz o nim.

— Czyż naprawdę robię takie wrażenie? Wydaje mi się tylko, że nie jest to bardzo interesujący temat do rozmowy. Najlepiej będzie, jeśli pozostawimy go w spokoju.

— Dobrze. Ty nigdy nie przyznasz się do pomyłki. Niemniej, jednak, mam pewne podejrzenia.

Renouard powstał już, aby odejść, lecz zawałał się i, patrząc zgóry na siedzącego redaktora:

— Jakie to śmieszne — rzekł z niezamąconą powagą i skierował się do drzwi, lecz zatrzymał go głos przyjaciela:

— Czy wiesz, co o tobie mówią? Że nie możesz wytrzymać z człowiekiem, którym nie możesz ponieierać. Powiedz mi — czy jest choć trochę prawdy w tem oskarżeniu?

— Nie—odparł Renouard.—Czyś to wydrukował w swej gazecie?

— Nie, bo niebardzo wierzyłem temu, ale zato powiem ci, co myślę o tobie: należysz do ludzi, którzy, gdy włożą w jaką sprawę całą swą duszę, nie licząc, co ta sprawa będzie kosztować ich samych, czy innych; ta opinia o tobie będzie kiedyś wydrukowana.

— W moim nekrologu—rzucił Renouard niedbale.

— Z pewnością nastąpi to prędzej, czy później.

— Czy siebie uważasz za nieśmiertelnego?

— Nie, mój chłopcze, nie jestem nieśmiertelny. Lecz głos prasy rozlega się w nieskończoność. I wyznam ci, że to jest tajemnicą twego wielkiego powodzenia w przedsięwzięciach, w których (nie bierz mi tego tylko za złe,) nie powiodło się innym, może nawet dzielniejszym od ciebie.

— Powodzenie—mruknął Renouard, energicznie zatrzaskując za sobą drzwi od biura. A litery w słowach „Biuro prywatne“, jak rząd białych oczu, zdawały się ze zdumieniem wpatrywać w jego plecy, spuszczające się wdół po schodach tej świątyni rozgłosu dziennikarskiego.

Renouard nie wątpił, że wszelkie środki, jakimi rozporządza prasa, zostaną oddane na usługi miłości, a wszelkie wysiłki skierowane będą ku odnalezieniu człowieka, kochanego przez pannę Moorsom. Nie pragnął jego śmierci i nie chciał jego krzywdy: wszyscy w głębi duszy jesteście obdarzeni uczuciami ludzkimi, które wyczerpują się dopiero po długotrwałem przesładowaniu, a człowiek ten nie zrobił mu nic złego. Lecz nim Renouard opuścił dom starego Dunster'a, dokąd udał się tego samego popołudnia, odkrył w sobie pragnienie, aby poszukiwania zaginionego przeciągnęły się jeszcze długo. Nie miał, jednak, nadziei, by mogły być bezskuteczne, gdyż zdawało mu się, że na tym świecie i jemu, i wogóle wszystkim ludziom nie

pozostaje nic, prócz rezygnacji. Wyobrażał sobie, że i profesor Moorsom doszedł do tego samego wniosku.

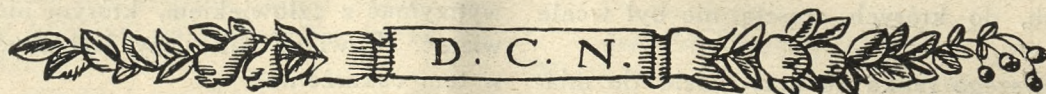
Profesor Moorsom był szczupły, średniego wzrostu, z myślącą bystrą głową, pokrytą gęstymi, falującymi włosami; ciemne, zamglone jego oczy rzucały z pod prostych brwi spojrzenie jakby oderwane od ksiąg i płynące z krainy myśli.

Był niesłuchanie uprzejmy dla Renouard'a, który czuł, że profesor, dzięki ciągłemu badaniu i analizie, stał się łagodnym i wyrozumiałym, czuł też, że profesor był niezdolnym do czynu i że przejmował się bardziej ideami, niż wypadkami w świecie rzeczywistym.

Umysł miał żywy, ironiczny, ale bez cienia złośliwości, i taką prostotę w obejściu, że łatwo było

się z nim oswoić. Rozmawiali długo na tarasie, skąd był rozległy widok na miasto i port.

Widział przed sobą zatokę z szarą ostrogą wybrzeża, obejmującą pełne blasku zazębienia wód. Dostojny spokój tego widoku pomógł Renouard'owi do odzyskania panowania nad sobą. Ale stracił je znowu, znalazłszy się zpowrotem na tarasie. Tam, bowiem, siedząc tuż obok panny Moorsom, z piersią pałającą, z szumem w uszach, prawie nieprzytomny, doznał najpotężniejszego w swym życiu wzruszenia. Teraz z profesorem spoczęli na tem samym miejscu, rozmawiając o niej. Patriarchalny Dunster siedział wpobliżu w koszykowym fotelu, pochylając się naprzód, dobrotliwy i przygłuchy, wielką dłonią osłaniając sobie ucho; pełen żywoci, która przypominała żar młodzińcy.



PO KONGRESIE SPORTOWYM

Drugi polski kongres sportowy, (pierwszy miał miejsce w roku 1923), odbyty w dniach 9 i 10 kwietnia r. b., zgromadził poważną liczbę około 300 delegatów poszczególnych związków sportowych. Dość licznie reprezentowane były również władze państwowe.

Zadaniem kongresu było ustalenie najważniejszych i najpilniejszych postulatów w dziedzinie sportu. W tym celu wygłoszone na kongresie referaty ująć miały programową całość aktualnych w Polsce zagadnień sportowych, zaś przedstawione i uchwalone wnioski — wytyczyć drogi dalszego rozwoju.

Następujące referaty wygłoszone zostały na kongresie: 1) płk. J. Ulrycha — „Współpraca władz państwowych i społeczeństwa na polu wychowania fizycznego i sportu“, 2) płk. W. Osmolskiego — „Sport, a rekord“, 3) J. Francikowskiego — „Sport w szkole“, 4) kpt. Kurletto — „Sport na wsi“, 5) red. K. Muszałówny — „Sport kobiety“, 6) inż. Chaistelbauera — „Polski przemysł sportowy“, 7) p. Raszkego — „Prasa sportowa“, 8) dr. Dybowskiego i prof. Piaseckiego — „Polska odznaka sportowa“, 9) dr. M. Orłowicza — „Postulaty administracyjne, ustawodawcze i finansowe sportu“, 10) ks. K. Lubomirskiego — „Przygotowanie IX Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie“, 11) kpt. Fularskiego — „Strzelectwo, jako sport obrony narodowej“, 12) dr. Dybowskiego — „Sport, a zdrowie“, 13) prof. Piaseckiego — „Profesjonalizm w sporcie“.

Referenci zgłosili szereg pierwszorzędnej wagi wniosków, których większość kongres uchwalił. Między innymi przyjęto wnioski następujące:

1) Kongres uznał za niezbędne, aby Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego wydał jaknajprędzej instrukcje do wojewódzkich, powiatowych i miejskich komitetów wychowania fizycznego, polecając im popieranie i propagandę sportu w kontakcie z miejscowymi organizacjami sportowymi.

2) Kongres uznał za niezbędne zniesienie postanowień ustawy o tymczasowym uregulowaniu finansów komunalnych z r. 1923, dających gminom prawo nakładania w dowolnej wysokości podatków od widowisk sportowych, o ile sama gmina nie uzna ich użyteczności publicznej. Uznano za niezbędne, aby podatek od amatorskich zawodów sportowych mógł wynosić najwyżej 10 proc., z tem jednakże, że dochód z tego źródła winien być obracany na budowę boisk i urządzeń sportowych gminnych.

Kongres wypowiedział się za współdziałaniem władz wojskowych z polskimi władzami sportowymi. W tym celu istnieć będą przy tych związkach komisje wojskowe.

Postulaty natury administracyjnej:

Kongres uznał za niezbędne dla ułatwienia rozwoju sportów w Polsce:

a) udzielanie 50% zniżek kolejowych dla uczestników zawodów i zjazdów sportowych.

b) ułatwienia paszportowe dla sportowców, ze specjalnem uwzględnieniem Igrzysk Olimpijskich, zarówno dla zawodników, jak i dla widzów spośród członków klubów sportowych.

c) udzielanie ulg cłowych dla niektórych artykułów sportowych, sprowadzanych z zagranicy,

d) ustanowienie państwowych wędrownych nagród honorowych dla zawodów o mistrzostwo Polski w każdej dziedzinie sportu.

e) budowę stadjonu reprezentacyjnego w Warszawie, przy doradczym współudziale wyłonionej przez Związek Związków Sportowych Komisji fachowej.

f) wybudowanie dostatecznej liczby basenów pływackich (w miastach przynajmniej jeden basen na każde 100.000 mieszkańców).

g) budowę domu sportowego w Warszawie pod kierownictwem Z. Z.

h) oddawanie gruntów pofortyfikacyjnych na boiska sportowe, oraz obracanie funduszy na zatrudnienie bezrobotnych, na budowę urządzeń sportowych.

• Postulat natury finansowej.

Kongres uznał za niezbędne dla rozwoju sportu w Polsce:

a) wydatne powiększenie budżetu państwowego na popieranie życia sportowego.

b) pomoc finansową Państwa i samorządów na cele przygotowań olimpijskich.

c) zasięganie przy rozdziale subwencji państwowych opinii zarządu Z. Z.

d) należyta organizację kredytu budowlanego na cele sportowe w formie długoterminowych pożyczek, udzielanych przez banki, wzgl. władze państwowe i samorządowe.

W sprawie przemysłu sportowego Kongres polecił Zarządowi Związku Polskich Związków Sportowych założenie odrębnego związku przemysłu i handlu wyrobów sportowych, oraz poparcie starań sfer przemysłowych o uzyskanie długoterminowego kredytu na rozbudowę tego działu przemysłu, przede wszystkim zaś dążenie do tworzenia spółdzielczych wytwórni sportowych.

W sprawie przygotowań do IX Olimpiady, Kongres uchwalił zwrócić uwagę kół sportowych i całego społeczeństwa na znaczenie IX Olimpiady i wezwał je do jaknajwiększego wysiłku, celem należytego przygotowania udziału naszego w tych igrzyskach i gromadzenia odpowiednich funduszy.

W sprawie profesjonalizmu (zawodowstwa) w sporcie kongres postanowił: stojąc na stanowisku czystego amatorstwa w sporcie, tak jak je określił Międzynarodowy Komitet Olimpijski i Kongres Olimpijski w Pradze (1925 r.), uznać sport zawodowy za objaw społecznie szkodliwy i wezwać Związek Polskich Związków Sportowych, oraz poszczególne polskie związki sportowe do dalszej obrony sportu polskiego przed zalewem profesjonalizmu i pseudo-amatorstwa.

(d. n).

K.

Kobieta w świecie i w domu

SZCZĘŚLIWE WYBRANKI LOSU

Ze wszystkich końców świata, ze wszystkich miast portowych wyruszyły już w stronę Ameryki okręty — wiozące najpiękniejsze kobiety z różnych krajów na międzynarodowy turniej piękności, który, jak to już donosiliśmy swego czasu, ma się rozegrać w Galveston, w Texas.

Olbrzymi parowiec transatlantyki „Niagara”, który wyruszył z francuskiego portu w Hawrze, kołysze na swym pokładzie aż trzy najpiękniejsze kobiety rasy łacińskiej — są niemi: „M-elle France”, „M-elle Italia” i „M-elle Luxemburg”.

Szczęśliwe wybranki losu — mają podróż uślaną kwiatami. Niezliczone tłumy na każdej stacji kolejowej, zanim przybyły do Hawru, urządzały im huczne owacje, armie reporterów i fotografów oblegały, poprostu, trzy gracje, błagając o kilka słów wywiadu i moment przyjemnego wyrazu twarzy przed obiektywem.

Królowe piękności spotkały się poraz pierwszy na dworcu Saint Lazare i przywitały się ze sobą siostrzanymi pocałunkami. Przedstawicielką Włoch, jest „M-elle Galo”, licząca obecnie 24 rok życia, ciemna bruneta, o brzoskwiniowej cerze i przepysznych, czarnych oczach. Żywa, pełna temperamentu. Towarzyszy jej do Ameryki, wzięty i bardzo popularny w kraju swym dziennikarz włoski z Turynu.

Na dworzec w Hawrze przybył na jej spotkanie konsul włoski, oraz cały tłum rodaków. „M-elle Luxemburg” jest blondyną, o marzycielskich oczach i łagodnym uśmiechu. Najpiękniejszą, jednak, spośród trzech boginek jest „M-elle France”, licząca dopiero 20 lat, zbudowana bez zarzutu, smukła, elastyczna, posiadająca rysy klasyczne, i długie, jedwabiste włosy!

Piękności zostały z niewiarogodnym wprost przepychem wyposażone w toalety wszelkiego rodzaju. W tym wypadku „M-elle France” od razu zdobyła rekord. Wszystkie paryskie zakłady konfekcyjne i modniarskie rywalizowały ze sobą w wyekwipowaniu uroczej paryżanki.

Prócz niezliczonej ilości kapeluszy, sukien, rękawiczek, pantofelków etc. „M-elle France” posiada kostium kąpielowy z łusek z różowej masy perłowej, z odpowiednim płaszczem z różowego crêpe de chine'u, najmodniejszy i najskromniejszy kostium sportowy, oraz wspaniałą toaletę wieczorową z jedwabiu koloru ivoire, usianego perłami. Na całość toalety składa się dobrana troskliwie biżuterja i płaszcz balowy, sortie z adamaszku, koloru kości słoniowej, podbity gronostajami. Piękności łacińskie płyną do Ameryki z tą-żonem wzruszeniem: która z nich odniesie zwycięstwo za oceanem? oto pytanie, które za kilka tygodni zacnie absorbować wszystkie piękne panie na całej kuli ziemskiej.

PANI KOŁLONTAJOWA ZNOWU MA BYĆ WYDALONA

Znana działaczka bolszewicka, ongi poseł sowiecki w Szwecji, a dziś w Meksyku, pani Kołłontajowa znowu ma być usunięta ze swego stanowiska...

Wszystkie związki zawodowe w mieście Meksykuzwróciły się do rządu z żądaniem natychmiastowego wydalenia pani Kołłontajowej z granic Meksyku, stwierdzono, bowiem, niezbicie, że „poseł bolszewicki w spódnicy” uprawia w wysokim stopniu agitację komunistyczną.

EMANCYPACJA HINDUSEK

Hinduski są, naogół, daleko bardziej uświadomione, niż to nam, Europejkom, się wydaje, jednakże stopień ich uświadomienia zależnym jest zupełnie od warunków lokalnych. Mieszkanki okolic południowych cieszą się daleko większą swobodą, niż ich siostry, mieszkające na północy. Tak np. hinduski z Malabru, gdzie dotychczas panuje ustrój matriarchalny, górują, oczywiście, znacznie nad mieszkankami północnych okolic Indyj, pozostającymi wciąż pod rządem mężczyzn.

Najgłośniejszą i najgorliwszą feministką w Indjach jest pani Deep Singh, żona wybitnego działacza politycznego hinduskiego, członka Zgromadzenia Indyjskiego.

Mądra ta i dzielna niewiasta ukończyła chlubnie uniwersytet w Kalkucie, udała się następnie na zwiedzenie Europy i brała czynny udział w występach sufrażystek w Anglii.

Po powrocie do ojczyzny zaczęła szerzyć wśród swych rodaczek idee feministyczne.

Nie wygląda, jednak, wcale na zaciętrzewioną bojowniczkę, o typie dawnej sufrażystki, przeciwnie, Mrs. Deep Singh jest uroczą hinduską, młodą, piękną i dobrą.

W domu u siebie ubiera się stale w barwne narodowe sari, o refleksach purpurowych.

Pod komendą pani Singh, feministki hinduskie wywalczyły już sobie prawo głosowania w czterech departamentach i spodziewają się wkrótce uzyskać również prawo wyborcze.

Religia hinduska stawia kobietę bardzo wysoko; zwyczaj zamykania jej w domu i przykrywania twarzy welonem jest naleciałością mahometańską, z którą przebudzona hinduska zaczyna walczyć teraz nie na żarty.

Nie walczy jednak metodami gwałtownymi, bo to nie leży w jej charakterze, zazwyczaj bardzo łagodnym i spokojnym, wierzy, jednak, że tym sposobem dopnie swego prędzej i skuteczniej.

Hinduski są bardzo religijne: są gorącymi zwolenniczkami proroka Gandhi'ego.

Na cześć swego bóstwa urządzają kobiety hinduskie rokrocznie meetingi, procesje, pochody — a czynią to z takim zapałem i ochotą, że oddają na ten cel wszystkie swe klejnoty, zaś kobiety z ludu — ostatnie wdowie swe grosze.

NIEZWYKŁA DEMONSTRACJA

Znakomita szwedzka kuchmistrzynie i autorka książki kucharskiej pani Ester Meidell, przebywając u rodziny swej w Oslo, wystąpiła z odczytem na temat niezwykle aktualny, mianowicie, że przy umiejętnem i odpowiedniem przygotowaniu artykułów spożywczych, można z łatwością wyżywić rodzinę, składającą się z 4 osób, za 100 koron norweskich (mniej więcej 250 zł.) miesięcznie!

Aby dowieść prawdy tego twierdzenia, pani Meidell urządziła w stolicy Norwegii publiczny pokaz gotowania, który miał być powtarzany codziennie przez cały tydzień.

Niespodziewanie propagatorka oszczędności i sztuki gotowania — znalazła się w opałach. Oto na salę podczas jej pokazów wtargnął tłum robotnic, z groźnymi okrzykami, że jeżeli nie zaprzestanie odczytu — to ją zlinczują... gdyż jest ona, zapewne, podkupiona przez przemysłowców, aby dowiodła możliwości obniżenia zarobków robotniczych.

Manifestantki zachowywały się tak wojowniczo i nieprzychylnie względem Bogu ducha winnej prelegentki, że trzeba było zawezwać oddział policji, aby umożliwić p. Meidell opuszczenie sali wykładowej.

ANGIELKOM PRYZNANO PRAWO WYBORCZE OD 21 ROKU ŻYCIA

Uchwała rządu angielskiego, udzielająca obywatelkom Anglii prawa wyborczego od 21 roku życia, została powitana przez prasę londyńską ogromnie nieprzychylnie.

Konserwatywne dzienniki krytykują ostro powyższą uchwałę i nazywają ją „prawem wyborczem dla podlotków”.

Nawet najbardziej liberalny „Star” stwierdza, że minister spraw wewnętrznych niepotrzebnie przyspieszył rezolucję odnośnej sprawy i związał sobie ręce.

W gabinecie opozycji przeciwnikami nowej ustawy wyborczej dla kobiet są Birkenhaed i Churchill

Jedynie prezes ministrów Baldwin jest zwolennikiem tej ustawy.

JAK JEST WŚRÓD ESKIMOSÓW

Misjonarze angielscy i francuscy pragną za wszelką cenę zreformować barbarzyński ustrój rodzinny wśród mieszkańców północnej części Kanady.

Według zwyczaju, rodzice zaślubiają tam każdego noworodka zaraz po urodzeniu.

Jeżeli dziecko przeżyje pół roku i nie jest nikomu jeszcze poślubione, uważa się to za hańbę dla całej rodziny.

Zdarzają się jednak często okresy, że rodzi się więcej chłopców, lub dziewcząt, i nie można ich wszystkich pożenić.

Wówczas można poślubić noworodki starszym ludziom, wdowcom i wdowom. Niedobre pary, w których jedno z małżonków często ma lat kilkadziesiąt, a drugie zaledwie kilka — mogą z łatwością się rozłączać, bez wielkich nawet zachodów.

Mężowie wymieniają swe żony czasem za darmo, najczęściej, jednak, za pewien wykup, tem większy, im młodsza i urodziwsza jest kobieta.

Dotychczas przechowuje się, jednak, wśród ludzi tego plemienia barbarzyński zwyczaj uśmiercania małych dziewczynek, jeżeli nie można dla nich, w przeciągu pierwszego roku życia, znaleźć męża. Obyczaj nakazuje zabijać niepoślubione przedstawicielki płci pięknej.

Rodzice uśmiercają je sami: chwytają małeństwo za nóżki i rozbijają mu głowę o skałę.

Przeciwko temu okrucieństwu najostrzej występują misjonarze angielscy, dotychczas, jednak, tubylcy odnoszą się do cudzoziemców ze złe tajoną niechęcią.

ŚWIETLICE PRZY KURSACH DLA DOROSŁYCH M. St. WARSZAWY

Potrzeba oświaty i pracy kulturalnej wśród młodzieży robotniczej Warszawy dobrze jest wszystkim znana. Brak instytucji społeczno - wychowawczych, które umiałyby się zająć losem dorastającej pracującej młodzieży, daje się w Warszawie odczuć w sposób dotkliwy. Niebezpieczeństwo, czyhające na młodzież w mrokach miejskich ulic, niebezpieczeństwo demoralizacji, zepsucia, odczuwa się wszędzie i ciągle. Kroniki miasta notują dziesiątki samobójstw, występów — w których zrujnowana wojną psychika młodzieży niemałą odgrywa rolę. W usilnej pracy nad organizowaniem oświaty i kultury wśród szerokich warstw młodzieży, w pracy, rozwijanej przez najrozmaitsze organizacje — nieraz niepozabawione politycznych tendencji, nie daje się wyprzedzić Magistrat miasta, który zorganizował t. zw. Kursy dla dorosłych, a obok nich — świetlice dla młodzieży pracującej.

Zadaniem świetlic jest udzielanie młodzieży, w godzinach wolnych od zajęć, właściwych rozrywek, udostępnianie nietrudnych zajęć praktycznych, wyrabianie społecznego, obywatelskiego poczucia — jednym słowem, godziwa praca kulturalno-oświatowa. Z działalności tej korzysta przeszło 600 osób młodzieży płci obojga. Funkcjonuje 16 świetlic, w tem 6 z zapomóg Ministerstwa W. R. i O. P., 10 — utrzymywanych przez magistrat. Świetlice dzielą się na koedukacyjne (4), dla dziewcząt (11), chłopców (1). Praca w świetlicach odbywa się zazwyczaj w niedziele, lub soboty. Główne rodzaje zajęć są następujące: chóry



Młodzież przy pracy w świetlicach

rysunki, introligatorstwo, gimnastyka. W niektórych świetlicach funkcjonują również koła literackie i dramatyczne, odbywają się pogadanki społeczne; jedna ze świetlic wydaje nawet własne pisemko, nierzadko, bowiem, zaobserwować można poważne zżycie się zgrupowanej w jednej świetlicy młodzieży.

Najpoważniejszą bolączką świetlic jest brak odpowiednich lokali. Gnieźdzenie się „kątem“ w szkołach powszechnych utrudnia bardzo zbiorową pracę. Niemożność właściwego przechowywania własnych narzędzi, książek, i t. p. trudności sprawiają, że czynność świetlic, ze względu na brak lokali, jest poważnie skrzepowana. Zrozumiałą jest rzeczą, że w milionowym mieście, nawet cierpiącym na głód mieszkaniowy, winny się, jednak, znaleźć lokale, dla pracy kulturalnej konieczne, i winni się również znaleźć — i, być może, znajdą się wspaniałomyślni ofiarodawcy gospodarze, którzy zechcą obdarzyć świetlice — nie ciasnymi izbami — lecz prawdziwymi „świetlicami.“

Działalność świetlic nie ogranicza się bynajmniej do pracy w zamkniętych miejskich pokojach — latem organizuje się wycieczki po całym kraju, mniejsze wycieczki podmiejskie, ćwiczenia i gry na wolnym powietrzu. Niektóre wycieczki mają charakter zbiorowy — biorą w nich udział wszyscy uczestnicy prac świetlicowych.

ZJAZD ZRZESZEŃ RODZICIELSKICH

W niedzielę palmową odbył się w sali Resursy Obywatelskiej zjazd zrzeszeń rodzicielskich. Przybyli przedstawiciele stolicy i licznych miast prowincjonalnych w liczbie 337, reprezentanci ministerstwa W. R. i O. P., wizytatorowie i delegaci stowarzyszeń. Na przewodniczącego obrad powołano p. Stan. Orłowskiego, prezesa Koła rodzicielskiego gimn. p. Rudzkiej.

Pierwszy dzień zjazdu wypełniły referaty: „O problemacie jednolitej szkoły na tle prądów doby obecnej“, p. Janoty-Bzowskiego, p. dyr. Lipskiego, z zakresu statystyki szkół powszechnych i p. Izy Mośczeńskiej, o programach szkolnych.

W drugim dniu zjazdu p. Kozłowski zreferował sprawę wychowania fizycznego młodzieży, przeprowadzając porównanie stanu zdrowotnego młodzieży polskiej z innymi krajami. Następny referent dyr. Kulwiec omówił zagadnienia wychowania moralnego i stanu moralnego młodzieży powojennej.



Gimnastyka na świeżym powietrzu

Po każdym z referatów toczyła się ożywiona dyskusja. Zasadniczo większość, tak prelegentów, jak i uczestników zjazdu, wypowiadała się przeciwko ministerjalnemu projektowi szkoły jednolitej. Zwłaszcza przeciwko wprowadzeniu jej zbyt szybko, drogą, po-niekąd „rewolucyjną”. A to ze względu na niski stan szkolnictwa powszechnego i obawy obniżenia poziomu szkoły średniej.

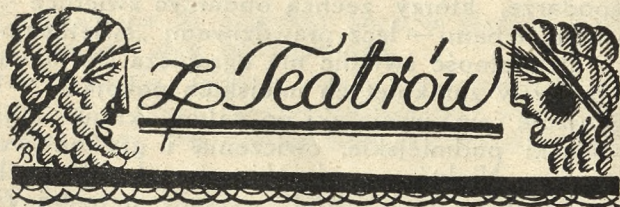
W zakończeniu obrad, uczestnicy zjazdu wystali depezę z wyrazami hołdu do p. Prezydenta Rzeczypospolitej, następnie zaś uchwalono szereg rezolucyj.

Zjazd podkreśla przede wszystkim znaczenie charakteru polskiego szkół na kresach, uważa, iż wszelkie zagadnienia klasowe i partyjne powinny być jaknajbardziej stanowczo usunięte z prac reformy szkoły polskiej. W sprawie zamierzonego związania szkoły średniej organicznie ze szkołą powszechną, przez zniesienie niższych klas gimnazjum, zjazd wypowiada się zasadniczo przeciwko tej reformie, widząc w jej pośpiesznym przeprowadzeniu poważne niebezpieczeństwo dla kultury narodu.

Dalej zjazd uznaje pilną potrzebę tworzenia szkół zawodowych o typie szkoły średniej, oraz takiej reformy programu szkoły średniej, któraby usunęła pracowanie młodzieży.

Dla dania społeczeństwu możliwości czuwania nad szkołą i bezpośredniego wpływu na rozwój szkolnictwa, utworzyć należy radę naczelną wychowania narodowego, złożoną z przedstawicieli nauki, organizacji społecznych i ośrodków życia gospodarczego. Organizacjom rodzicielskim należy zapewnić możliwość stałego współdziałania ze szkołą, oraz z instytucjami pracy oświatowej i społeczno-wychowawczej.

Na tych rezolucjach obrady zjazdu zamknięto. N.J.



TEATR POLSKI

Adrianna Lecouvreur, sztuka w 6 odsłonach E. Scribe'a i E. Legouvé, przekład Boga-Zeleńskiego.

Minęły już dawno czasy wielkich namiętności. Wyblakły i wypłowiały rzadkie storczyki kochania, jadowne blekoty zemsty i nienawiści, gaszące na zrudziałych adamaszkach mebli Louis XV blade uśmiechy serca umarłego. Dziś już nikt życiem nie płaci za miłość, a rywalka rywalce nie posyła bukietu kwiatów zatrutych, aby ją usunąć ze swej drogi. Skarb miłości rozmienniono na liczmany miłostek, a burzę zemsty — na szpileczki plotek. I dlatego tragiczny konflikt miłosny między dwiema kobietami z przed 200 lat: szlachetną i ofiarną aktorką Adrianną Lecouvreur (Przybyłko-Potocka), a dumną i zawziętą księżną de Bouillon (Sulima), jest dla nas dziś śliczną bajką sceniczną o miłości i śmierci, bajką, ubraną w efektowne kostiumy pierwszej połowy XVIII wieku i w błyskotliwy dialog saloonowy, w którym, jak piorun wśród obłoków stylowych, migoce od czasu do czasu nagie ostrze namiętności. Oto rozwija się przed nami spleciona sieć przedziwnej historii, wklajająca w oka intryg pałacowych i teatralnych wszystkie osoby melodramatu, marionetki, posłuszne mistrzowskiemu pociągnięciom autorów. Bo, przynajmniej, cokolwiekby się dało powiedzieć dziś o myślenie, jaką trąci ten foliał, wyciągnięty z archiwum teatralnego, odmu-chany, wyświeżony nanowo, owiany, poraż już nie wiem który, nieśmiertelnym technieniem epoki i stylu, — jedno jest pewnem: widz,

choćby najbardziej nowocześnie inspirowany, musi ulec czarowi tej sztuki, daje się porwać fabule, wierzy w jej nieprawdopodobieństwa, kocha i cierpi jednocześnie z jej bohaterami, a wychodząc z teatru, powiada sobie, stylem Zagłoby:

— Omszały to gąsior, aleć wino w nim przednie!

Dodać należy, że blask i kolor tego likworu zmienia się zależnie od szlachetności kryształu, w który jest nalany. Gra artystów stanowi niemal połowę powodzenia tej sztuki, napisanej z rzadkiem dziś poczuciem efektu scenicznego, z nieomylnym instynktem teatru, decydującym raz nazawsze o rasie „Adrianny Lecouvreur”. Tytułowa rola była tu i jest dotychczas magnesem, przyciągającym indywidualności aktorskie najwyższej próby. Po Modrzejewskiej, która naszym dziadkom i babkom z epoki pozytywistycznej wy-ciskała najsłodsze łzy wzruszeń estetycznych słynnym frazesem o „rywalce”, nie było, zdaje się, artystki, która odważyłaby się na podźwignięcie tej roli w tak odmiennych warunkach pojmowania gry scenicznej przez wykonawców i zabarwienia wrażliwości u widzów.

Stąd fakt ponownego wystawienia Adrianny Lecouvreur byłby prawdziwym hazardem ze strony dyrekcji Teatru Polskiego, gdyby nie jej wysoka kultura artystyczna i wspomniany już, nieomylny instynkt, który uczy, że dobry teatr jest zawsze dobrym teatrem, choćby nie miał pretensji do koturnów wielkiej poezji. Drogą tej intuicji artystycznej poszła p. Przybyłko-Potocka, jako wykonawczyni roli tytułowej. Z przedziwną subtelnością wyeliminowała z gry swoje wszystko, co mogło tchnąć melodramatem. Była szlachetna w linii psychicznej, powściągliwa w geście, umiarkowana w mimice, niemal surowa w efektach zewnętrznych. Gra jej, lekko fałująca powierzchnię, szła głębokim nurtem istotnych przeżyć wewnętrznych. Tylko prawdziwy magnat sztuki może i ma prawo zdobyć się na takie opanowanie własnych skarbów, na taką ascezę wyrazu, jak to uczyniła p. Przybyłko-Potocka w swej ostatniej kreacji. Był to rzetelny klejnot w jej repertuarze. S. P. O.

Z FILMÓW

WIELKA PARADA

Jest ona naprawdę tem, czem miała być: wielką wojną, a nie naodwrot, jak to przewidywało płaskie, a suche serduszek kochającej zaledwie „powierzchu” kobiety. Z tego też powodu w szerokich ramach akcji wojennej zapomniany zostaje wątek uczuciowy scenariusza.

Od wściekłego tempa, skondensowanego w dziesięciu minutach, wymarszu „amerykańskiego oddziału z Champillon, czujemy dreszcz... Teraz się zacznie”.

To nagle zebrane poszczególnych psychologicznych starć w głębokie łożysko przeżywań masy jest oddane poprostu mistrzowsko.

Konsekwentny przebieg akcji wojennej — od pierwszego momentu rozwinęcia na drodze szlaku autobusów, aż do kulminacyjnej sceny z papierosem, w której zwierzęca wściekłość przeradza się nagle w najdoskonalszy kształt głęboko-ludzkiego współczucia — nie przełamany jest w żadnym momencie. Jest on ciąglem, stopniem nawarstwianiem grozy. Nieporównany jest pochód przez ostrzeliwany las. Psychologiczny kontrast między koniecznością równego, nieprzerwanego marszu prosto w śmierć i nagle rozbudzenia samozachowawczego instynktu — oddany jest świetnie. Uplastycznia go przelotny moment strachu, który skuwa jedną obręczą trzy tak odrębne typy bohaterów. Równie świetnie jest rozwiązane fotogeniczne zadanie sylwetek i twarzy: porywająca młodzieńczo konsekwentna postać bohatera i głęboko ludzki amalgamat groteski i wzniosłości w osobie Slima.

Do zasług reżysera zaliczyć trzeba przede wszystkim aż ryzykowną zwyczajność realistycznych środków, znakomicie pogłębiających dramatyczność momentów. Efekt, osiągnięty ciąglem żu-ciem gumy w osobie Slima, lub takie, np. losowanie zapomocą konkursu na najdalsze splunięcie, którego wynikiem ma być nie-chybna śmierć.

Równie proste i ludzkie efekty potęgują akcję uczuciową. Szczytowym jej momentem jest ciśnienie ukochanej dziewczyny buta z wozu i uniesienie wdzięczności, z jakim tuli do siebie tę jedyną pamiętkę — sama jedna — na drodze.

Nieporównanym posunięciem jest również skondensowanie tęsknoty miłosnej w momencie, kiedy opuszczona dziewczyna żuje gumę, którą jej zostawił ukochany — i płacze. Znacznie płytszym przestarzałym, niejako, jest pomysł chodzenia z beczką na głowie i nieprawdopodobna w założeniu ucieczka bohatera ze szpitala.

W momentach tych odchyła się od właściwego pionu istotna, głęboko-ludzka wartość filmu. W. B.

O KINIE

Po czysto zewnętrznem wrażeniu, wyraźności zdjęć, o dobroci i wartości filmu stanowi jego treść. Czemże ona jest? Prócz zdjęć z natury w filmach podróżniczych, zdjęć sportowych, naukowych, wreszcie zdjęć z różnych aktualnych dla świata chwil i wypadków w Żurnalach i kronikach, mamy niezliczone dramaty i komedje, nakręcane w wytwórniach wszystkich państw, posiadających przemysł filmowy. Często są to przeróbki powieści, fragmenty z historii, nowele, nawet sztuki sceniczne, odpowiednio przekształcone, ale przeważnie są to specjalnie dla ekranu pisane dzieła, a raczej układane z szeregu scen. Jak w literaturze, tak i tu mamy wspaniałe zarysowaną psychologię różnych narodowości.

Przedewszystkiem, w specjalną grupę należy połączyć filmy amerykańskie. Ameryka—przy wysokiej cywilizacji—jest kulturalnie dzieckiem Europy. W kwestiach uczucia, sentymentu, moralności są niemożliwie naiwni. Prawda historyczna jest w nich dość słabo pojmowana. Ale mają bardzo dużo rozmachu, fantazji, umiłowania ruchu, sportu i moc optymizmu. Ich dramaty, to przeważnie powikłania życiowe kochających się serc, trudne tarapaty, walka, wierność, wreszcie szczęśliwe, w przeważającej ilości, zakończenie. Czasem ubierają te dramaty w szaty historyczne, bardzo niezgodne w szczegółach z epoką, pełne nielogiczności, ale barwne. Często tworzą filmy z życia monarchów urojonych państw, t. zw. dworskie, grzeszące całą możliwą niezajomością poruszanych warunków, ale, mimo to, efektowne. Wreszcie, najliczniejsze dramaty współczesne, pełne, nawet przy szwankującym sensie, zdumiewająco dobrze dobranych postaci, typów ludzkich, pełne pięknych kobiet, olśniewających tulalet, zajmujących zdjęć z życia ulicy, karkołomnych sztuk, ryzykownych dla życia scen i ruchu, ruchu. Amerykanie zrozumieli od początku istnienia sztuki filmowej, że głównym jej atutem jest właśnie uwiecznienie ruchu. Tego tempa zawrotnego, niemożliwego na scenie teatralnej, nieistniejącego dla fotografii. I dlatego w ich filmach mamy pędzące konie, pociągi, auta. Mamy spienione fale wodospadu i mknące łodzie motorowe. Ich obrazy tętnią życiem, napełniają podziwem dla tej wygimnastykowanej, zwinnej ludzkości Nowego Świata.

Gorzej jest z amerykańskimi farsami. Europejczyk nawet z trudem nie może doszukać się sensu w tych dwuaktowych komedijkach. A może właśnie nie chodzi o sens, a tylko o pewną kolejność komicznych sytuacji, dla nas może niezrozumiałych w swej istocie, ale porywających werwą i rubaszną wesołością. Satyra na zwyczaje, typy, wreszcie konieczna zawsze szalona gonitwa. Bez niej nie bywa farsy. Ktoś kogoś musi łąpać, szalona ucieczka, dająca możność wykazania zręczności fizycznej aktora, odwagi operatora i wywołująca emocję u widza. Amerykańska farsa — to szalony błysk humoru nieokrzesanej duszy, cieszącej się z byle czego, pełna śmiechu i życia. Cóż za inny świat tejże sztuki filmowej mamy w Europie! Danja, Niemcy, Francja, Włochy—oto główne centra wytwórni kontynentu. Każde z tych państw dało coś ze swego charakteru narodowego, ze swoich cech i zamiłowań. Całe brzemie starej kultury, przerafinowanych dusz, zmęczenia — runęło na barki X muzy.

Pod względem treści stoją filmy europejskie bezsprzecznie wyżej od amerykańskich, są może na-

wet czasem aż za treściwe, kryją głębokie myśli i uczucia, są to prawdziwe dzieła literackie zobrazowane. Zobaczmy dramaty niemieckie: ile realizmu życiowego, ile bólu i męki serca. Potworne sceny beznadziejnych gmatwanin, jakieś zmory, zostawiające niesmak.

Jest jakaś ciężkość, coś brutalnie twardego, jak żelazna pięść losu, bez uśmiechu szczęścia. Lubią oni operować symbolami. Motywy morza, spokojnego, lub wzburzonego jako preludjum do odpowiedniego filmu, gdzie się będą ważyły uczucia. Potężne sylwety gór—do dramatów o niewzruszonych charakterach.

W dramacie włoskim mamy więcej temperamentu, ale też i burze uczuć będą gwałtowniejsze, bardziej nieokiełznane, gorące. A zawsze kończą się smutnie. Dramat francuski ma dużo subtelności, ale często goni za sensacją wielkowiejską, z treścią zaczerpniętą z powiastki brukowego dziennika. Ma sporo prawdziwego i dobrego sentymentu, a umie się zdobyć na wspaniałe, bohaterskie rapsody. Twórczość filmowa kontynentu jest owiele bogatsza i różnorodniejsza od amerykańskiej, ale jest pozbawiona w wielu wypadkach owego tempa i ruchu.

Natomiast na pierwszy plan wysuwają się komedje. Wytworne, naturalne, pełne humoru, wdzięku i treści. Najmilsze są duńskie i wiedeńskie. Duńskie mają najczęściej udział zwierząt domowych: psiaki, kury, owce, gęsi—daje to ogromnie miły charakter sztuce, tembardziej, gdy jest to komedja. Wiedeńskie mają dużo pogodnej wesołości, świetnej satyry na stosunki, typy, przesady i zwyczaj klasowe. Przytem zawsze troszkę sentymentu, jakaś lezka wśród śmiechu. Nie mają one wydatnych cech kinematograficznych, są raczej ilustrowaniami filmem wydaniem nowel, czy przeróbkami scenicznych sztuk.

Wciąż postępująca technika kinematograficzna pozwala na coraz śmielsze pomysły reżyserskie. Temat, zdawało się niemożliwy do innego, jak literackiego, opracowania — o rozdwojeniu się człowieka, o sobowtórach — już został zrealizowany. Wszelakie wizje, przeczucia, udają się na filmie znakomicie. Choćby taka rzecz, jak senne widzenia śpiącego, pomieszanie wrażeń ubiegłego dnia z niemożliwą przyszłością, absurdalne sytuacje, bajkowe majaczenia — dają kolosalne wrażenia. Film nie tylko może wprowadzić w pewien nastrój, dając odpowiednie obrazy, ale może oddawać najsubtelniejsze drgania psychiczne. To otwiera przed nim nową drogę.

Film dziś jest poważną konkurencją dla literatury. Naturalnie, że pewien poziom umysłów nie zamieni książki na film, choć obejrzy go, albo jako ilustrację do znanego dzieła, albo dla niego samego. Ale znajdzie się sporo takich ludzi, którzy zamienią czytanie na patrzenie. W książce mamy szereg scen, splatających się w ogólną akcję, popartą wywodami, myślami, rozmowami. Na filmie też mamy obrazy, poparte napisami, obrazy, w których mimika jest dość wyraźna, by zrozumieć uczucia i przeżycia grających. Gdy obecnie, przy intensywnej pracy, nieraz całodzienniej, ma się tak mało czasu dla siebie, gdy się nie zawsze chce i może przesiadywać godzinami nad książką, kto wie, czy nie przez kino zawiera się znajomość z literaturą. A kto wie, czy w przyszłości, może nie tak dalekiej, gdy jak dziś przez radio słuchamy koncertu z sali Filharmonji, nie będziemy widzieli na małym ekranie filmu, wyświetlanego na stacji nadawczej? Filmu, który zastąpi książkę pisaną, a który będzie literaturą przyszłości. Zygmunt Knothé.

AMERYKAŃSKIE POGLĄDY NA SPRAWĘ ŻYWIENIA, JAKO NAJWAŻNIEJSZEGO DZIAŁU GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Metody żywienia ogólnego, oraz system żywienia dzieci są ujednolajnione w Ameryce. Na I śniadanie zawsze, wszędzie podają przedewszystkiem owoce (pomarańcze, kompot ze śliwek, banan, jabłko), następnie kaszę owsianą, pszenną, kukurydzaną na gęsto z surowym mlekiem, lub śmietanką (mleko w Ameryce jest wyborne!).

Dalej kakao, mleko, lub kawa zbożowa (tzw. Instant-Postum), grzanka i masło. Co do ilości i jakości, pożywienie jest ujednolajnione dla wieku, zajęcia i stanu zdrowia. W restauracji żąda się np. breakfast for the child i to wystarcza. II śniadanie między 12 — 1, tzw. lunch, składa się: z jednej potrawy posilnej, np. 2 gorących jarzyn, potrawy z jaj, lub mleka, oraz pożywnej, lub owocowej leguminy, szklanki surowego mleka, chleba i masła. Obiad o godz. 6: zupa jest rzadkością, nigdy zaprawiona; zamiast zupy — kompot kwaskowy z surowych mieszanych owoców, mięso i ryby, częściej pieczone, niż smażone, niezbędna jedna sałata zielona, pomidory surowe, selery (surowe, specjalny gatunek), jarzyny gotowane bez tłustych przypraw. Masło podają do stołu osobno, dla okraszenia potrawy dowolnie. Legumina słodka, ciastka lub lody, ice-cream. Kolacji nie bywa. Odżywianie to ma też swoje błędy, różne jednak od polskiego menu. Amerykanie używają za dużo słodczy, mało chleba żytniego i razowego, mięso nie jest tam tak smaczne, jak u nas. Używają dużo konserw. Ale ustosunkowanie składników, dobranie potraw jest właściwe. W Polsce przeprowadziłam badania, które wykazały, że za wiele dostarczamy organizmowi kaloryj (kalorja, jest to ilość ciepła, potrzebna do ogrzania 1 centymetra sześciennego wody o 1° Celsjusza); za dużo jemy tłuszczów, gdy należałoby dostarczać kaloryj w postaci węglowodanów, a więc spożywać raczej więcej warzyw, owoców, mleka, czyli pokarmów, mniej kalorycznie skoncentrowanych.

Złe są przepisy kucharskie, mówiące o wkrajaniu „kawalka” boczku, lub słoniny, bo ten kawalek jest wielkością względną. Obrumienianie w rozpalonym maśle, lub smażenie w dużych ilościach tłuszczu musi być też b. umiejętnie robione, nie mówiąc już, że niewłaściwe jest nieoznaczanie tych ilości dokładne. Gdyby u nas potrawy były mniej przetłuszczone, a mięso podawane z potrawami, które ułatwiałyby jego trawienie, nie tylko zdrowie zyskałoby na tem, ale i kieszeń, gdyż wiele składników pokarmowych idzie na marne przy nieumiejętnym doborze. Gdy dostarczamy więcej energii w formie tłuszczów, niż w formie węglowodanów, tj. warzyw i maki, nie tylko obciążamy żołądek, ale też marnujemy białko. Węglowodany bowiem, lepiej oszczędzają rozkład białka, niż tłuszcze. Gdy człowiek dorosły utrzymuje swą wagę, możemy twierdzić, że dostarcza organizmowi tyle energii, ile potrzebuje.

Gdy tyje, magazynuje energję w formie tłuszczu, nieużytecznego, a nawet szkodliwego. Dla osoby, która prowadzi siedzący tryb życia, potrzeba znacznie mniej kaloryj (a więc szczególnie tłustego mięsa, tłuszczu),

niż dla osoby, pracującej fizycznie. Słuszne jest powiedzenie, że obarczać równocześnie pracą żołądka i mózgu nie można. Słyszałam o matce, która cieszyła się, że jej 3 miesięcznemu dziecku przybywa prawie funt tygodniowo, gdy normalnie pracujący organizm dziecka w tym wieku powinien wskazywać przyrost maximum $\frac{1}{2}$ funta tygodniowo, a stopniowo, w miarę rozwoju, powinien ten przyrost tygodniowy spadać do $\frac{1}{4}$ funta. Oprócz energii, której dostarczamy w produktach takich, jak mąka, kartofle, kasze, chleb, mleko, musimy pamiętać o dostarczaniu pewnych mineralnych składników, oraz witamin, które, choć nie dodają kalorycznej wartości do pożywienia, są niezbędne do tego, aby organizm prawidłowo funkcjonował. Minimalnie człowiek dorosły potrzebuje 0,45 gr. wapna dziennie, a dziecko nie mniej, niż 1 gram tego pierwiastku, a więc 2 razy więcej od człowieka dorosłego. Fosforu — 0,88 gr. dla człowieka dorosłego, 1,46 gr. dla dziecka, a więc przeszło $1\frac{1}{2}$ raza więcej. Żelaza 0,15 gr. dla człowieka dorosłego. Z badań nad składem chemicznym naszego dziennego menu otrzymałam dane, wykazujące stosunkowo małą ilość wapna, poniżej maximum, przy wystarczającej ilości fosforu.

Umiejętne dobranie potraw i pokarmów w racji dziennej powinno doprowadzić do unormowania stosunku między składnikami mineralnymi. Powinniśmy spożywać więcej mleka, sera, fasoli, oraz, wogóle, warzyw i soku z owoców, w których znajdują się substancje, zwane witaminami, które wpływają na lepsze zużytkowanie minerałów, choćby dostarczonych w nieodpowiednim stosunku. Nauka wykazała, że nie można przypisywać jakiemuś jednemu pokarmowi, lub potrawie magicznych własności, które mają tajemniczy wpływ na funkcjonowanie organizmu, lub są niezdrowe przy pewnych chorobach.

Są pewne substancje, rozpowszechnione w pokarmach, które dzielą się na grupy, t. zw. witaminy A, B, C, D, E, F, zależnie od roli, jaką grają w organizmie człowieka. Liczne badania wykazały, że np. organizm zwierzęcy nie może rosnąć i utrzymywać zdrowia, zachowując dietę, zawierającą w racjonalnej proporcji białko, tłuszcz, węglowodany i minerały w czystej formie, choćby nawet to pożywienie było dobrze strawione. Gdy jednak ekstrakt z naturalnego pożywienia w bardzo małej ilości jest dodany do dziennej racji, organizm zwierzęcy odzyskuje utraconą wagę, a nawet uleczyć się może z chorób, które brak odpowiednich witamin spowodował. I tak: brak witaminy A, znajdującej się w tłuszczu z mleka, w soku pomidorów, kapusty, marchwi, pomarańczy, jajka, szpinaku, powoduje chorobę oczu, a nawet w ostatnim stadium ślepotę. Dodatek dziennej racji $2\frac{1}{2}$ gr. marchwi, lub 1 gr., t. j. $\frac{1}{8}$ łyżeczki masła, kropli tranu wyleczyć może szczura, ciężko chorego na zapalenie oczu, wywołane brakiem tych witamin. W Danji dzieci na mleku zbieranym zapadały na podobną chorobę, z której dodatek pełnego mleka, a z niem witaminy A, wyleczył je zupełnie. W Japonji chorobę oczu u dzieci na diecie, składającej się głównie z ryżu, wyleczono dzięki dodaniu wątróbki kurzej. Wątroba niektórych zwierząt jest magazynem tłuszczu, a z nim zapasem witaminy grupy A. Stąd tran, pochodzący z wątroby sztokfisza, ma tak cenne znaczenie dla dzieci w okresie rozwoju, a szczególnie w zimie, gdy mało jest promieni słonecznych. W tranie są, bowiem, witaminy, potrzebne do wzrostu i do rozwoju kości, t. zw. przeciwrzwywicowe, promienie słoneczne mają zaś podobne znaczenie, co witaminy

przeciwnie, bo wytwarzają te witaminy z substancji, ukrytych w skórze. Jest już sprawą zupełnie stwierdzoną, że dla zapobieżenia krzywicy, trzeba dostarczać, dziecku dużo słońca i powietrza, oraz witaminy A i D, znajdujące się w maśle, śmietanie, mleku, pomidorach, soku z marchwi, cytryny i pomarańczy. Brak witaminy, zw. B, zapobiegającej chorobom nerwowym, organizm odczuwa znacznie szybciej, gdyż nie może się ona zmagazynować w organizmie, jak witaminy poprzednio wspomniane A i D w maśle i pomidorach. Organizmy, zupełnie pozbawione witaminy B, zapadają na paraliż nerwów, który w kilka godzin ustaje po podaniu witaminy B. Jest ona bardzo rozpowszechniona w grubych kaszach, warzywach, cytrynie, jabłkach, pomarańczy.

(d. c. n.)

Marja Morzkowska

WIOSENNY SEZON W NAŁĘCZOWIE

Zarząd Towarzystwa Akcyjnego „Zakład Leczniczy Nałęczów” postanowił przedłużyć w tym roku akcję, podjętą z racji 125 letniej rocznicy egzystencji Zakładu Nałęczowskiego, polegającą na urządzaniu sezonów ulgowych, w celu udostępnienia kuracji jak największemu kołom ludzi średnio-zamożnych. Na sezon wiosenny, mający trwać od 26 marca do 15 czerwca r. b., ustalono opłatę zł. 260, — za 21 dni pobytu i kuracji w Zakładzie. Cena ta ma obejmować: mieszkanie (dla każdego osobny pokój), światło, opał, całodzienne utrzymanie: śniadanie, obiad z 4 dań podwieczerek i kolację, porady i opiekę lekarską, wszystkie środki lecznicze, jakimi Zakład rozporządza, oraz opłatę sezonową.

Należy nadmienić, że Zarząd Zakładu Leczniczego nieograniczył się w tym wypadku do ulg w Zakładzie: na wniosek jego właściciele prywatnych willi i pensjonatów w Nałęczowie (około 500 pokoi) zdecydowali się wziąć udział w powyższej akcji. Ustalono zostały b. niskie ceny na pokoje i utrzymanie, np. 1 zł. dziennie za pokój, 1 zł. 70 gr. za obiad i t. d.

Mamy nadzieję, że zamierzenia te znajdą szerokie echo wśród ludzi, potrzebujących krótkiego choćby wypoczynku i kuracji, a rozporządzających szczupłymi środkami.

W PIERWSZYCH DNIACH MAJA UKAŻE SIĘ KSIĄŻKA
Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ

p. t.

KOBIETA NOWOCZESNA WE WSZYSTKICH OKRESACH JEJ ŻYCIA

Książka ta w sposób rozumny i pełen doświadczenia życiowego ujmując zagadnienia życia kobiecego od dzieciństwa aż do starości i niewątpliwie stanie się przyjaciółką każdej nowoczesnej kobiety.

Cena 6 zł.

Skład główny w Tow. Wyd. „Bluszcz”

Po otrzymaniu 6 zł. przekazem, lub przez P. K. O. na konto 13.555, książkę natychmiast wysyłamy.

Dla czytelniczek „Bluszu” nie liczymy kosztów przesyłki.

TYP NOWOCZESNEJ SYLWETKI KOBIECEJ

Znanym jest fakt, że nie używanie pewnych mięśni prowadzi do ich zaniku. Spotyka się często kobiety zamożne, otoczone zbytkiem, poruszające się tak niezgrabnie i nieestetycznie. Pochodzi to stąd, że kobiety te nigdy fizycznie nie pracują, nie czynią żadnego wysiłku, wobec czego wpadają w stan półseny, który odbija się na całej ich postaci. Należy więc od najmłodszych lat przyzwyczajać dzieci, aby używały jak najwięcej ruchu kształtując i wyrabiając swe siły.

Mała dziewczynka często porusza główką, kręci szyję i ma ładną linię karku. Dorosła kobieta zachowuje się spokojnie, lecz wzamian za to wyrasta podwójny podbródek.

W ruchach każdej jednostki wyraża się nie tylko temperament, lecz i indywidualne własności danego charakteru.

Spotykamy się często ze zdaniem, że sposób chodzenia jest rzeczą wrodzoną i wyśmiewa się z możliwości nabycia elegancji w chodzeniu.

Ładny, zgrabny krok z dobrą postawą jest pierwszym warunkiem estetycznego wrażenia. Żaden ubiór wrażenia tego nie wywoła, jeśli osoba, która ten ubiór nosi, będzie posiadała ruchy, urągające wszelkim wymaganiom estetyki. Umiejętność chodzenia jest do pewnego stopnia przyrodzoną własnością, może jednakże być dziełem usilnych starań. Ażeby wyrobić sobie piękne ruchy, należy obserwować swój własny krok i odrazu zobaczyć te właściwości, które u innych brzydko wyglądają, a których przedtem się nie zauważyło.

Siła woli zdolna jest czynić cuda. Przy pomocy siły woli wszelkie nieładne rzeczy można najzupełniej usunąć, albo o wiele scieniuować. Mało jest osób, które posiadają budowę ciała bez zarzutu, ale wówczas braki można wyrównać przez odpowiednią systematyczną pracę nad sobą i przekształcić.

Ciekawą jest rzeczą, jak się z biegiem czasu zmieniały ruchy i sama postać, o czym przekonywujemy się, patrząc na obrazy historyczne.

Dla wyrobienia ruchów, oprócz gimnastyki, na daje się również spacer. Dwadzieścia minut rytmicznego spaceru więcej znaczyć będzie, aniżeli 2 godziny niedbałego, brzydkiego chodzenia, przy którym mięśnie wcale nie pracują. Tańce w higienicznych warunkach ogromnie wpływają na ukształtowanie się ruchów; jednak są osoby, posiadające tak nieestetyczne kształty i zabawne ruchy, które, niestety, lecz nie powinny tańczyć, by nie wzbudzać ogólnej wesołości i nie narażać się na śmieszność.

Chcąc być piękną, przede wszystkim należy przyręczyć sobie dobrze w lustrze, starannie i dokładnie odnaleźć wszelkie wady i zalety swej postaci i ciała, by podkreślić zalety, a zatuszować wady, wtedy to osiągnąć można cel, wyrażający się w estetycznym wyglądzie; najlepszym przewodnikiem i doradcą jest wyrobienie w sobie samokrytycyzmu. Pierwszą uwagę należy zwrócić na swą cerę i rozstrzygnąć, czy charakter skóry jest suchy, tłusty, lub pośredni — odpowiednio do tego spostrzeżenia należy ją pielęgnować (czytaj książkę „Piękność i zdrowie w życiu kobiety” dr. Świtalskiej, wyd. „Bluszcz”).

Przy pielęgnowaniu cery pierwsze miejsce zajmuje czystość. Częste i racjonalne mycie się, świeże powietrze, słońce i wogóle higieniczny tryb życia, wszystko to, co potrzebne jest do utrzymania zdrowia, staje się przede wszystkim warunkiem utrzymania dobrej cery.

W ostatnich czasach przyzwyczajono się już do widoku twarzy pudrowanych i umalowanych, chociaż niedawno jeszcze raziły wymalowane twarze. Wiadomym jest, że artystki potrafią znakomicie, dzięki umiejętnemu malowaniu twarzy, nadać jej odpowiedni wyraz, a występując na scenie, umieją zupełnie ukryć i wyrównać zmarszczki. Inaczej, jednak, powinno się malować w domu, inaczej — wychodząc na ulicę, lub scenę.

Jestem przeciwniczką malowania się, lecz w pewnych wypadkach, gdy się wygląda blade, jest się niedysponowaną, użycie różu jest nieuniknionem. Chodzi tylko o to, aby było to umiejętnie zrobione. Największa trudność polega na uchwyceniu swego typu i dobraniu odpowiednich barwików.

Pomimo najbardziej ostrych głosów protestu, musimy przyznać, że duch czasu narzuca zwyczaj malowania się. Prawie każda nowoczesna kobieta nosi dziś ze sobą puder i szminkę, i faktem pozostaje to, że większość ich ucieka się do pomocy sztuki.

W samym sposobie malowania się ustawiczne zachodzą zmiany, spowodowane wymaganiami mody. Do niedawna Paryż używał szminki koloru rouge mandarine, obecnie zaś wszystkie odcienie bois de rose. Wybór koloru musi być uczyniony w porze między dniem, a wieczorem. Ogólnie polecam system kosmetyki angielskiej, polegający na utrzymaniu zdrowia, odpowiednim trybie życia — i racjonalnem stosowaniu zabiegów z kosmetyki lekarskiej.

Przy malowaniu twarzy najodpowiedniejszym jest sposób francuski. Należy najprzód twarz obmyć czystą wodą i na wilgotną jeszcze skórę nałożyć cienką warstwę kremu. Następnie wciera się trochę różu w całą twarz, w miejsca, które należy odświeżyć, poczem zapudrowuje się, co niweczy sztuczny wyraz twarzy. Czy użycie różu i pudru jest szkodliwe?

Jeśli stosuje się kremy w dobrym gatunku, oczyszcza się nimi i odświeża skórę na twarzy, odpowiednio twarz się myje, używa higienicznych pudrów i dobrych wyrobów różu, cera nie niszczy się wcale. Naturalnie, istnieją twarze, do których różę specjalnie się nie nadają, wtedy to należy używanie różu wykluczyć zupełnie.

Modne szminkowanie nadaje twarzy modny wyraz. Do tych należą, np.: cienkie i długie brwi, które czynią twarz odpowiadającą warunkom panującej mody; za szerokie, lub krzaczaste brwi mogą być zwężone i zapomocą ołówka przedłużone. Również i rzęsy można o to uczynić czarniejszemi, używając do tego tuszu, wówczas oczy nabierają odpowiedniego wyrazu.

Każda kobieta dźierzy w swem ręku moc uczynienia siebie piękną tak długo, jak tylko sobie tego życzy, trzeba jedynie dołożyć do tego starań, pamiętając, przede wszystkim, o ogólnej higienie, nie zaś ślepo dążyć za wskazówkami mody, wyrażającej się tylko w używaniu pudru i różu. Zasadniczemi kosmetykami są: słońce, powietrze, kąpiele i masaże. Natomiast środek taki, jak malowanie się, winien być ograniczony do minimum — wówczas wytworzy się zdrowy typ nowoczesnej sylwetki kobiecej.

(d. c. n.)

Dr. med. Julja Świtalska.

NIEBEZPIECZNY KWIAT

Przez kilka lat, co wiosna padałam ofiarą choroby bardzo bolesnej i przykrej. W końcu marca, lub początkach kwietnia, bez widocznej przyczyny, dostawałam pieczenia, kłucia i swędzenia palców, rąk i twarzy, które w następstwie puchły w okropny sposób. Prędzej, czy później ataki choroby przechodziły; zawsze jednak dopiero wyjechawszy z miejsca, gdzie na nią zapadłam, wracałam zupełnie do zdrowia.

Ostatni paroksyzm, kilka lat temu, wyjątko ciężko zapisał się w mojej pamięci. Bawiłam wtedy na wsi, w domu, którego pani lubowała się w kwiatkach, a primule specjalnie były przez nią umiłowane. To też mieszkanie tonęło w ich lila cieniach, harmonizujących się w cudny bukiet. Wszystkie pokoje, a mój przede wszystkim, dzięki gościnności miłutkiej gospodyni, były niemi poprostu zasypane. Zachwycona ślicznemi kwiatami, pielegnowałam je z oddaniem, ciesząc się szybkim rozwojem coraz to świeżych pączków. Niedługo, niestety, trwała moja radość: nigdy tak ciężko nie chorowałam, jak tej wiosny, nigdy nie doszłam do tak okropnego stanu, jak wówczas. Nie wiedząc, co robić, kiedy wszelkie okłady, maście, pudry zapisane przez miejscowego lekarza, nietylko nie pomagały, ale, przeciwnie, szkodziły mi, wyjechałam do Inowrocławia. Już w drodze zrobiło mi się lepiej, a po przybyciu na miejsce, literalnie następnego dnia, bez żadnego leczenia, bolesne objawy zaczęły mijać, i bardzo szybko wróciłam do zdrowia i normalnego wyglądu.

Zastanawiając się nad niezrozumiałemi dla mnie cierpieniami, ani na chwilę nie posądzałam miłego pierwszaka o ich przyczynę, przypuszczając, raczej, że leżała ona w nerwach, czy też artretyzmie, jak to zwykle jest się skłonny wierzyć, nie znając realnych powodów swoich cierpień. Kiedy wróciłam w jesieni zupełnie wyleczona, spotkałam w towarzystwie jednego z pierwszorzędných lekarzy stolicy. Znałam go, jako człowieka, którego zajmie moja, dotąd nieokreślona, choroba, i opowiedziałam mu o wiosennych przypadłościach, prosząc, aby mi wytłumaczył, co mogło być przyczyną tak silnego zatrucia, (jemu, bowiem, intuicyjnie przypisywałam chorobę), — którego padłam ofiarą.



Primula obconica

Zainteresował się bardzo opowiedzianym wypadkiem i szczegółowo dopytywał się o warunki, w jakich żyję, potrawy, którymi się odżywiam, zwłaszcza na wiosnę, nawet kwiaty, jakimi lubię się otaczać. Wtedy to padło imię primulki, i poraz pierwszy usłyszałam o wyjątkowo zdradnych i szkodliwych własnościach tej, pozornie niewinnej roślinki, której, bez żadnych wątpliwości, lekarz przypisywał moją chorobę. Nie zupełnie przekonana, ale wystarczająco przerażona wspomnieniem długich cierpień, wołałam być ostrożną i odtąd primula została wykluczona z mojego otoczenia.

Minęło kilka wiosen, choroba nie powracała i, naturalnie, przestałam o niej myśleć, kiedy w kwietniu r. b. dostałam śliczny pęk lila primulek. Zachwycona ich pięknnością i subtelnością delikatnej woni, niebaczna na niebezpieczeństwo, w które, jeżeli mam być szczerą, nigdy bardzo nie wierzyłam, ustawiłam je na biurku, przy którym spędzam całe dnie. Nagle, pod wieczór, tak dobrze znane objawy palenia i klucia skóry na twarzy i rękach zwróciły moją uwagę na obecność nieprzyjaciela. Usuwam czempredziej kwiaty do dalszych pokoi, nie mając serca wyrzucić ich zupełnie; pomimo to cierpię, puchnę i czerwienię się coraz bardziej. Dopiero po kompletnem usunięciu primul z mieszkania, zaczynam odczuwać pewną ulgę, a nazajutrz choroba przechodzi bez śladu. Teraz uwierzyłam bezwzględnie w oskarżenie, rzucane przez Dr. K. na pozornie niewinny kwiatek, zatruwający mnie z nieznanых przyczyn, czego dowodem były powtarzające się o jednej porze dnia dreszcze, podniesienie temperatury i podrażnienie skóry, przechodzące w ostre zapalenie tejże. Co mnie najbardziej zastanawia, to fakt, że nigdy dawniej obecność primuli nie oddziaływała na mnie w taki sposób.

Czyżby i kwiaty, tak jak ludzie, po wojnie stały się złośliwsze i niebezpieczniejsze? Tu nadmienię muszę, że za złośliwszy uważam gatunek, zwany „Primula obconica“, zaś primula chińska, mniej pospolita i piękniejsza od poprzedniej, jest mniej niebezpieczna. Zamieściłam tu—popartą dowodami, zaczerpniętymi z własnego smutnego doświadczenia, nieprawdopodobną, a jednak prawdziwą—historję o trującym kwiecie, tak dla wiadomości osób, cierpiących może bezwiednie z tych samych, co ja, powodów, jak i w chęci obudzenia zainteresowania tą, bądź co bądź, ciekawą materją. A może panowie lekarze zechcą wyjaśnić nam, dlaczego primula jest szkodliwa i czem szkodzi? Nikłym nad wyraz zapachem, czy też włoskami, któ-

remi listki jej i łodyżki są pokryte? Primulowe niebezpieczeństwo dla tych, którzy go doznali, warte jest zbadania, co najmniej narówni z żółtem, to też dla ułatwienia tych badań, proponuję—dla przekonania się, jak bardzo jest ono rozpowszechnione—czytelniczkom, podlegającym mu, aby zechciały zawiadomić o tem Redakcję „Bluszczu“.

L. Ziel...ska.



MYCIE OKIEN

Praca, łatwa na wsi, przy przeważnie parterowych oknach, i bardzo trudna, nieomal z narażeniem życia, połączona, w miejskich cztero i pięciopiętrowych domach, już nie mówiąc o coraz częściej w Warszawie spotykanych dziesięciopiętrowych drapaczach nieba. W wielkich miastach zagranicą są do takiej pracy specjalnie przeznaczone klatki na żelaznej linie i bloku, przesuwane z piętra na piętro i z okna do okna, w których stróż i robotnik specjalny, wygodnie stojąc, zapomocą kredy, czy innego proszku i specjalnych szczotek w chwil kilka zewnętrzną stronę szyb oczyszcza. Zresztą, takie zewnętrzne oczyszczanie szyb stanowi, jak i całe zewnętrzne utrzymanie domu, bezpośredni i nie kwestjonowany obowiązek właściciela domu. W Polsce powojennej, o oczyszczaniu przez gospodarzy szyb zewnętrznych, oczywiście, mowy być nie może.

Mimo panującego bezrobocia znaleźć chętnego do wymycia okien osobnika jest niemożliwe, albo są oni tak niepewni, że po dokładnem rozejrzeniu się w mieszkaniu jutro je okradną, albo też żądają od okna sumy, za którą prawie nową szybę kupić można. I karkołomną robotę mycia szyb—(czemu też wszystkie okna u nas otwierają się nazewnątrz, wręcz przeciwnie, niż na świecie całym?) — wykonywują nasze głupie Kasie i Jagusie, lub, jeszcze głupsze i niezgrabniejsze od nich, wynajęte na dniówkę do pomocy, Janowe i Walentowe.

Projektowane i demonstrowane na różnych wystawach przyrządy ochronne, wszystkie idą w jednym kierunku: zabezpieczenia od upadku, a raczej—już po upadku—powstrzymania od rozbicia się o bruk. Są to, przeważnie, różne systemy sznurów, opasujące osobę myjącą i przymocowane do futryny, do ramy, lub do parapetu okna. Już nie mówiąc o tem, że ta rama, lub futryna mogą być spróchniałe i nie utrzymać ciężaru upadającej osoby,—wyobraźmy sobie taką sytuację. W mieszkaniu, oprócz osoby, myjącej okno, znajduje się tylko osoba starsza, lub chora, lub, co jeszcze gorzej, dziecko. Myjąca osoba zawisała, w pół przywiązana na sznurze, o jakieś parę metrów niżej okna, — pozycja chyba nie do zazdrości,—dziecko, lub staruszka nie mogą jej przyjść z pomocą, gdyż brak im sił, muszą biec po stróża, lub sprowadzać policję, co zabiera tyle czasu, że zawieszona między niebem i ziemią pracownica może umrzeć ze strachu, zemdleć, a co najmniej ciężko się rozchorować od pozostawiania czas dłuższy w niesłychanie niewygodnej i męczącej pozycji. I żeby te niewiasty chociaż chciały wprowadzić jakiekolwiek udoskonalenia, w wykonywanie tej ciężkiej pracy, — lecz nie, zawsze używają do mycia



Primula chińska

li tylko ścierek, grubszych i cieńszych i trą niemi, trą, trą niemiłosiernie szyby, aż kit, przytrzymujący je wypada, i same szyby nieraz pękają. Na propozycję użycia zamiast wody roztworu kredy na spirytusie i do polerowania szyb papieru gazetowego, lub opakunkowego, ruszają tylko wzgardliwie ramionami i odpowiadają, że całe życie tak właśnie robiły i do śmierci tak robić będą.

Żeby choć trochę dopomóc w niebezpiecznej robocie w mieście, latem prawie co miesiąc się powtarzającej, a to z racji warstw kurzu węglowego, osiadającego na szybach po każdym deszczu, należałoby, przedewszystkiem, we wszystkich nowobudowanych domach robić okna, otwierające się do wnętrza,—co szczególnie jest wskazane wobec coraz większej ilości pięter. W starych domach—skłonić gospodarzy do zbudowania klatki ruchomej, zakładanej na parapet zmywanych okien. Obwiązywanie obowiązkowe sznurem osoby myjącej i umocowywanie tego sznura do jakiegoś mocno wbitego w futrynę haka, — sznur ten nie powinien być zbyt długi, aby chronił od upadku, a nie dawał zawisnąć gdzieś niżej okna. Należy też zabronić zupełnie mycia okien wodą, a wymagać policyjnie, aby okna były czyszczone tylko kredą, rozrobioną spirytusem,—co zmniejsza niesłychanie robotę i daje doskonałe rezultaty. Takie posmarowanie okna dużym pędzlem, a po wyschnięciu, oczyszczenie suchą ściereczką, nawiniętą na miękką szczotkę, trwa minut kilka i da się wykonać nawet przez samą panią, bez najmniejszego zmęczenia. Kreda i spirytus momentalnie wszelki brud rozpuszczają i zabierają z sobą, przy wycieraniu zaś ściereczką ślicznie się poleruje szyby.

Wciągu ostatniego miesiąca, jeden z najruchliwszych szczotkarzy warszawskich, inspirowany przez przewodniczącą koła studjów gospodarstwa domowego p. doktorową Orłowską i przy jej wskazówkach, skonstruował bardzo pomysłowy przyrząd do mycia okien, pozwalający osobie zmywającej wykonywać tę pracę, stojąc na podłodze, nie wspinając się po stołkach do oberluftów i nie wychylając przez okno.

Jest to bardzo dowcipna kombinacja szczotek nie z włosia, lecz z gęstych knotów bawełnianych złożonych, osadzonych nie na sztorc, lecz z boku kija. Taką szczotką z największą łatwością można umyć najwyżej położone szyby oberluftów. Do ściągnięcia wody i, ewentualnie, kredy,—która przy tym sposobie pracy jest polecana,—służy druga szczotka, składająca się z kawałka filcu i gumy,—w miniaturowym przypominająca gumy, któremi, za czasów, kiedy Warszawę czysto utrzymywano, myto bruki uliczne. Trzecia, na koniec, szczotka z bawełny, impregnowanej płynem do czyszczenia szkła i metali, nadaje szybom wspaniały połysk, przy ścierkach niedościgniony. Niestety, wynalazek ten nieco się spóźnił, a raczej nie sam wynalazek, tylko wykonanie większej ilości takich przyrządów, i nieduże znalazł zastosowanie przy przedświątecznych porządkach. Po długich przekonywaniach i perswazjach zdołałam jednak przekonać moją wieloletnią pomocnicę o jego celowości, raczyła go używać i pochlebna o nim wydała opinię. Było to olbrzymie zwycięstwo, gdyż w myśl francuskiego przysłowia, które mówi: „In'ya pas de grand homme pour son laquais“, osoba ta ma w specjalnej pogardzie moje wiadomości praktyczne. Sądzę, że wynalazek ten, jak wszystkie inne, będzie jeszcze się udoskonalał, sądzą też, że doda on innym wynalazcom bodźca do pracy w tym kierunku. Jest to pierwsza jaskółka, zwiastunka wiosny,—

na którą przy myciu okien dawno czekają i służące i panie. Przepisy policyjne zabraniają kobietom wykonywać tę niebezpieczną czynność, — nie wskazują, jednak, skąd dostać umiętnych i chętnych mężczyzn, gotowych ją wykonać po dostępnej cenie, — to też Kasia, czy Marysia wciąż musi wyglądać, czy nie zobaczy gdzieś wpobliżu sympatycznego granatowego munduru i nie usłyszy okrzyku: „Ej, panienko! — bo zaproszę do komisariatu“!

Oprócz czyszczenia okien kredą, muszę przypomnieć paniom zwyczaj, rozpowszechniony zagranicą. Wyjeżdżając na czas dłuższy na letnisko, należy szyby, szczególnie u okien, od słonecznej strony położonych, wysmarować grubo kredą z wodą. Chroni to obicia, meble, dywany i obrazy od wypalania się i płowienia, a po powrocie do mieszkania, kiedy jest tyle innych zajęć, dosyć zetrzeć tę kredę, aby mieć czysciuchne, błyszczące okna.

Pani Elżbieta.

KAŻDA PANI DOMU POWINNA NABYĆ
KSIAŻKĘ

„OSZCZĘDNA
GOSPODYNIA“

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „Życia Praktycznego“, Warszawa,
Krakowskie Przedmieście 99, po otrzymaniu należności prze-
kazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelnikom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.



COMBER CIEŁĘCY.

Piękny comber ciełący jest potrawą bardzo elegancką, którą można podać na najwystawniejszym proszonym obiedzie, lub kolacji. Można go podawać po zupie, zamiast sztuki mięsa, — wtedy się podaje z garniturem z rozmaitych jarzyn,—lub też na pieczyście, wtedy odpowiednimi doń dodatkami są wszelkie sałaty zielone i octowe, a nawet wszelkie kompoty.

W miastach trzeba comber taki zamawiać u rzeźnika, gdyż tylko na specjalny obstalunek cały comber z połączonych dwóch zadnich ćwiartek wyrabują. Nerki należy pozostawić, lub wyjąć przed upieczeniem i użyć na przekąskę. Jeżeli je pozostawiamy, to po upieczeniu kraje się oddzielnie w ładne plastry na ukos i układa pomiędzy garniturem na brzegu półmiska. Comber należy namoczyć na godzinę najwyżej, obetrzeć do sucha, posmarować masłem, podać paru łyżkami wody, aby odrazu na brytfannie

się nie przypalił, poczem dalej polewać masłem, Uważać, aby się prędko i ładnie zrumienił, a nie wysuszył. Kto lubi, może go naszpikować cienkimi paskami wędzonej słoninki. Po upieczeniu, mięso z obu stron kości grzbietowej zdejmuję się ostrym nożem, kraje naukos w możliwie duże i cienkie plastry i znowu układa wcałość na kości.

Sos, precedzony przez sitko, podaje się oddzielnie w sosjerce. Za garnitur mogą służyć wszelkie sezonowe jarzynki: szparagi, groszek, fasolka zielona, szparagowa, lub w ziarnkach, kalafjory, pomidory, grzyby smażone, lub duszone, pieczarki i t. p.

Zawsze pomiędzy garniturem powinny być kartofelki przysmażane i makaron. Wszystko to jednak tylko wraze, jeśli comber podaje się na sztukę mięsa. Jako pieczone, należy go tylko ubrać na półmisku zieloną pietruszką, sałatką, lub, zimą, jarmużem, a oddzielnie podawać wszelkie sałaty i kompoty.

SALATA Z RZODKWI I FASOLI

Bardzo oryginalna kombinacja prostej i taniej sałaty do każdej wołowej, czy wieprzowej pieczeni. Fasolkę, w pierw na godzin kilka namoczoną, ugotować na miękko, dopiero po ugotowaniu posolić. Zimową rzodkiew (może być i letnia duża, biała) oczyścić, utrzyć na tarce, wraz z nią utrzyć też dużą cebulę, najlepiej hiszpańską, łagodniejszą w smaku, osolić, skropić octem, lub lepiej cytryną, wymieszać z gęstą kwaśną śmietaną, dać postać godzinę, dodać fasolę, jeszcze potrzymać godzinę na chłodzie, przełożyć do salaterki i podawać.

LEGUMINA Z SERA

Żółtka z 4 jaj utrzyć z łyżką masła i dziesięćoma deka dobrego, dobrze odcisniętego i nie kwaśnego sera, dodać dziesięć deka cukru i kawałek utłuczonej wanilji, lub parę kropel olejku migdałowego. Wmieszać ostrożnie łyżkę mąki pszennej i sztywną pianę, ubitą z pozostałych czterech białek. Metalowy, lub ogniotrwały półmisek wysmarować masłem, ułożyć masę w ładną kopułę i wsadzić na dwadzieścia minut do pieca. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca, aby nie opadło. W sosjerce podać kwaśną śmietanę, ubitą z cukrem i wanilią.

LEGUMINA Z POZOSTAŁYCH BIAŁEK

Kiedy pozostaną białka od ciasta, należy je użyć na następującą, łatwą i prędką leguminę. Na pięć białek dziesięć deka cukru, najlepiej pudru, lub tłuczonej rafinady, dwie spore łyżki konfitur malinowych, poziomkowych, lub truskawkowych i sok z całej cytryny. Ucierać to wszystko razem wałkiem, lub łyżką drewnianą, aż zgęstnieje, zbieleje i narosnie. Ułożyć ładnie na kryształową salaterkę. Oddzielnie podać śmietankę, lub mleko. Chcąc tę leguminę podać bardziej elegancko, obłożyć ją biskopcikami, lub makaronikami.

Pani Elżbieta.

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu” będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowym. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3, według poniższego wyliczenia.

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej:

„Mój Krem”	6 zł.
„Mój Puder higieniczny” we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr.
Galaretka na łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3.	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampon higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowe	3 „ 50 gr.
Perleki do kąpieli przemiannych	5 „
Perleki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

Prenumeratorki „Bluszczu”, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysyłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości. Co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czy są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdławiają się na końcach? Pozatem subiektywne uczucie pieczenia, swędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Ogólna odpowiedź na łojotok. Proszę wszystkie Czytelniczki Bluszczu cierpiące na łojotok o przeczytanie tej odpowiedzi.

Łojotok jest najczęstszym cierpieniem skóry, polega na rozszerzeniu się gruczołów łojowych w skórze; w lżejszym stopniu występuje tylko połysk skóry, zwłaszcza w okolicy nosa, brody i czoła, w silniejszym zaś, widoczne otworki gruczołów łojowych, skóra wtedy wygląda jak dziurkowana. Przy zatkanu gruczołów brudem, lub kurzem, występują wągry, jeśli do tego powiększonego gruczołu dostanie się bakteria, przychodzi do ropnia t. zw. krostki, Łojotok leczy się całymi latami cierpliwością lekarza i pacjenta. Do łojotoku najczęściej dołącza się zaparcie stolca, anemja, zła przemiana materji. Należy więc leczyć choroby podstawowe, to znaczy anemję, zaparcie stolca i t. d. Na łojotok spróbować użyć „Moją Galaretkę” przeciw łojotokowi, sposób użycia:

1) Przy łojotoku lżejszego stopnia, wetrzeć rano, po umyciu w miejsca zajęte łojotokiem, następnie zmyć po 15 minutach i przypudrować. Galaretki używać 3 razy w tygodniu, a 3 razy „Mój Krem”.

2) Przy łojotoku silniejszego stopnia „Moją Galaretkę” wcierać codzień na noc, rano zaś zmyć twarz wodą gorącą z dodatkiem łyżeczki gliceryny i boraksu, mydłem liljowym i wetrzeć „Mój Krem”, na dzień parę razy twarz zapudrować. Galaretka łojotokowa jest najnowszym wynalazkiem, przygotowanym bez tłuszczu, tylko na żelatynie, wsiąka głęboko w skórę i w ten sposób powoduje szybkie działanie. Galaretkę łojotokową używać można również na plecy i na piersi, objęte łojotokiem. Cena 5 złotych, porto 1 zł. Proszę podawać dokładny adres. Należy pamiętać, że przy łojotoku nie może być odrazu wyliczenia, skoro po galaretkę uzyska się poprawę, trzeba stale pielęgnować swoją cerę.

Dr. J. ŚWITALSKA

PRZYJMUJE CODZIENNIE OD GODZ. 5-ej DO 7-ej.
KRUCZA 31, MIESZK. 3.

KOSMETYKA LECZNICZA, CHOROBY SKÓRNE I PŁOCIOWE, ŚWIATŁOLECZNICTWO.

Janinie i Stałej Czytelniczce „Bluszczu”. Na tłuste włosy, oraz na łupież używać „Mój Ogródek” w przeciągu 6 tygodni stale, natomiast po usunięciu objawów—tylko raz na tydzień. Do mycia włosów „jajeczka”, stale myć włosy raz na tydzień.

Sposób mycia włosów: umoczyć głowę w letniej wodzie następnie rozciąć skorupkę jaja i połowę zawartości nasypać na mokłą głowę i zrobić pianę, po 5 minutach włosy obficie spłókać. Dla włosów ciemnych do ostatniego spłókania dolać łyżkę octu, włos jasny spłókać obficie i do ostatniej wody dodać odwar rumianku rzymskiego (4 łyżki na litr wody), łyżkę octu i łyżkę wody utlenionej, Płyn do włosów 6 złotych, jajeczko 3 złote, 1 zł. porto. Proszę podawać dokładny adres.

Ogólna odpowiedź. Nagniotki usunąć można zupełnie przy starannym leczeniu, Nosić wygodne obuwie. Moczyć nogi codziennie wodą letnią z łyżeczką boraksu na miednicę. Na miejsce, zajęte nagniotkiem, przykładać dyjachilum, świeżo spreparowany.

Powtarzać ten zabieg należy codziennie po wycoczeniu nóg, wkońcu bezboleśnie zdejmują się nagniotki. Zwykle nagniotki bywają bardzo uporczywe, zwłaszcza u artretyków. Leczenie należy powtarzać kilkakrotnie. Uporczywe nagniotki usuwa diatermia.

* * *

Pani B. M. z Jar. Wełny i roboty wełniane zawsze najlepiej prać w mydle rozbitym w ukropie, a następnie ostudzonym, dobranym zimną, przegotowaną wodą. Lub, tak żeby był ledwo letni. Piorąc wełnę, nie trzeba trzeć, ale tylko wyciskać dany przedmiot, zmieniając często wodę, aż do zupełnie czystej. Następnie wypłókać, nie wyżywać, tylko wycisnąć, roztrząpać i ułożyć do wysuszenia na stole między dwoma grubymi prześcieradłami, lub, co lepiej wełnianymi pledami, które natychmiast wilgoć wciągną i uchronią kolory od zacieknienia. Zostawić tak do wysuszenia, a trochę wilgotne jeszcze zmaglować w suchym prześcieradle. Co do guńki, trzeba ją prać benzyną, nie zawsze, bowiem, sukna Zakopiańskie nie są w tak dobrym gatunku, aby się nie skurczyły. Przyborów do robót i haftu dostanie Pani w firmie J. Wegenko, Marszałkowska 153.

Pani Z. B. w Kawęcinie. Za dobre słowo dziękujemy. Pragnąc zadowolić życzenie Sz. Pani, przeszukałyśmy roczniki wskazane, ale na ślad wzmiankowanego przez Panią przepisu nie natrafiłyśmy. Może będzie Sz. Pani mogła dać bliższe wskazówki, a może przepis ten umieszczony był w którym z kalendarzy, wydawanych przez ś. p. L. Cwierciakiewiczową.

Pani Fr. J. Białystok. Pomimo najszczerzych chęci, nie możemy dać Pani przepisu na: „buzę macedońską”, nie mogąc nigdzie trafić na niego. Możemy służyć wyborem przepisem kwasu chlebowego, który na życzenie Sz. Pani umieścimy, lub prześlemy.

Pani H. P. Słomim. Zakład w Chyliczkach egzystuje, adres: Chyliczki poczta Piaseczno. W Warszawie mogą polecić Sz. Pani szkołę robót Pani Onichimowskiej, do której o bliższe informacje zechce Sz. Pani napisać pod adresem: Warszawa, Krucza 19. Szkoła robót p. J. Onichimowskiej.

Pani J. G. Sępólno. Katalogi życzonych przez Sz. Panią podręczników wysyła pod Pani adresem księgarnia Arcta.

Pani B. St. Jarocin. Najlepsze są książeczki Gałczyńskiego, skład główny: Ceglana 11, kantor firmy Ulrich. Jest ich trzy: Ogród

owocowy, warzywny i kwiatowy. Na żądanie wysłać za zaliczeniem pocztowym wybraną książkę. Cena każdej 1 zł. 50 gr.

Ognisko nauczycielskie w Turku. Nici na siatkę używa się lnianych na motkach Nr. 1, na poszycie tych samych, cięszych Nr. 2. Krosna mogą być każde, lepiej naturalnie większe, ale i na mniejszych można robić, przesuwając robotę. Siatkę krochmali, lub usztywnia się czem innym przed poszywaniem, następnie w krosnach, jeżeli tego potrzeba, można usztywnić deseń. To samo można też zrobić, rozpiawszy sztywną siatkę na stole, na czystym prześcieradle. Siatkę można wzupełności zastosować do długości i szerokości okna, frendzli długość trzeba nadać odpowiednią do rozmiarów firanki, do większej—dłuższą, do mniejszej—krótszą, ilość nici zależna jest również od rozmiarów firanki.

Pani M. B. Droniowice. Musiała być jakaś pomyłka, gdyż żadnego listu nie otrzymaliśmy, dla tego też nie ma Sz. Pani odpowiedzi. Palta jedwabne, zwłaszcza impregnowane, (nieprzemakalne) są i będą najmodniejsze w letnim sezonie.

Pani H. L. Poznań. Za pamięć o nas serdecznie dziękujemy, chwilowo z oferty skorzystać nie możemy, mamy, bowiem, dużo zapasu. Adres Sz. Pani notujemy.

Poznaniance. Na liczne zapytania z Wielkopolski oświadczam, że nie mam zamiaru w najbliższym czasie otwierać filii salonu kosmetycznego w Poznaniu. Osoby, podające się, że działają z mego upoważnienia, podszywają się bezprawnie pod moje nazwisko.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran —	zł. 2,50,
poduszka — serwetka —	zł. 1,50, drobne desenie —
	gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

ABY MIEĆ WŁOSY PUSZYSTE I MODNIE
UCZESANE NALEŻY NABYĆ KSIĄŻECZKĘ

Dr. JULJI ŚWITALSKIEJ

p. t.

„Jak pielęgnować włosy“

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

KAŻDY, KTO POSIADA CHOĆ KAWAŁEK ZIEMI,
POWINNIEN NABYĆ KSIĄŻKĘ P. T.

„MÓJ OGRÓDEK“

I część — kwiaty, II część — trawniki, róże
inspekta, warzywa

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 13.555

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.